

JEAN DAVIDSON

TAMTO WŁOSKIE LATO

Przełożyła Aleksandra Walkusz

ROZDZIAŁ I

— Stop, na Boga, co wy wyrabiacie?

Dochodzący z głębi hallu męski głos brzmiał rozkazująco. Pianista, zapamiętałe bębniący temat z „Fame” i kompletnie nie przejmujący się brakiem kilku klawiszy, przerwał pierwszy. Tancerze na prowizorycznej platformie zamarli. Wszyscy — oprócz Florence.

Florrie, stojąca na czele swojego jedenastoosobowego zespołu, była tak pochłonięta tańcem, że wykonała jeszcze kilka kroków i obrotów, zanim dotarły do niej owe słowa. W półobrocie wpadła na Weronikę, potknęła się i upadła niezgrabnie, wbijając sobie boleśnie drzazgę w dłoń.

W tej niezręcznej pozycji podażyła wzrokiem za spojrzzeniami kolegów. Dopiero teraz zorientowała się, że ktoś brutalnie i niegrzecznie przerwał im próbę. Tego już za wiele — pomyślała Florrie.

— Co, do diabła...?! — zaczęła, ale głos natychmiast uwiązał jej w gardle, oszczędzając rumieńców na twarzach młodych tancerzy. Nietrudno było jednak odgadnąć, jakie słowa miały paść.

Nagle Florrie uświadomiła sobie, że intruz nie jest jej obcy.

„Obym się tylko myliła” — modliła się w duchu, przeczuwając jednocześnie dużego siniaka na udzie.

Zgrabnie podniosła się jednak i podeszła do skraju sceny. W powietrzu wisiał mocny zapach świeżego drewna, zmieszany z ostrą wonią potu i wapna.

— Kto to jest? — usłyszała za sobą szept Sue.

— Nie wiem, ale przypomina mi kogoś — powiedziała półgłosem jej bliźniacza siostra Seb.

Florrie splotła ręce i oświadczyła zwięźle.

— Niech pan powie to, co ma do powiedzenia i opuści altanę. Jesteśmy bardzo zajęci, nie widzi pan?

W żaden sposób nie mogła sobie przypomnieć, skąd знаła tego mężczyznę. Dziwne, bo jeśli znali się prywatnie, to chyba powinien szukać kontaktu z nimi w sposób bardziej przyjazny.

Intruz pochylił nieco głowę, jakby tym razem uznał małe zwycięstwo Florrie. Kilkoma potężnymi krokami przemierzył podłogę i stanął obok niej na scenie. Jego ciemne oczy zabłyśły.

— Proszę mi wybaczyć wtargnięcie, ale nie wiedziałem, w jaki sposób zwrócić na siebie uwagę. Tak ciężko pracowaliście. Obserwowałem was od prawie dziesięciu minut. Pozwoli pani, że się przedstawię — spojrzał na Florrie, która uparcie milczała.

— Nazywam się Robert Howard...

Zrobił przerwę. Wokół dały się słyszeć podniecone szepty i tłumione okrzyki.

— ... i zaproponowano mi reżyserowanie pani przedstawienia.

Florrie poddała się urokowi, jakim Robert zdawał się czarować swoich słuchaczy. Koił on urazę wywołaną wcześniejszymi uwagami. Jak dobrze znała te sztuczki! Najpierw zaskoczyć, przyciągnąć uwagę, porwać. Potem okazywać wsparcie, pomagać i wreszcie — wycisnąć ostatnie soki. O tak, pamiętała to aż za dobrze.

— Ale — protestowała — reżyseria...

— Tak — przyznał cicho — rozumiem, że pani, panno Johnson, dzielnie i sprawnie wypełniała tę lukę i jestem pewien, że każdy z tu obecnych jest zadowolony z pani prowadzenia. Teraz będziemy pracować razem.

Jego głos odzyskał pewność powodującą, że ludzie prostowali się i oddychali głębiej.

— Widzę, że mamy przed sobą jeszcze sporo pracy. Znowu podniosła się fala szeptów, wymieniono kilka znaczących spojrzeń. Dziesiątka tancerzy, których Florrie uczyła i z którymi pracowała przez ostatni miesiąc, patrzyła po sobie w zakłopotaniu. Czekali na jej reakcję.

Florrie targały emocje — rozczerowanie, tak nagłe i przykre ze względu na jej dotychczasową pozycję w grupie, dziwny lęk przed tym mężczyzną. I w końcu — rutyna tancerki, która kazała jej podporządkować się wskazówkom przyszłego reżysera.

Nie mogła zebrać myśli, ale rozsądek podsunął jej jedyne słuszne rozwiązanie. Czy mogła pozbawić u-czniów okazji pracy z wielkim Robertem Howardem?

Pokonując dumę i uśmiechając się dzielnie stanęła w rzędzie z innymi. Fortepian znów zabrzmiał. Z oczami utkwionymi w Robercie, Florrie zastanawiała się, czy rzeczywiście mijając ją powiedział:

— „Dobra dziewczynka”.

Półtoragodzinne ćwiczenia i wielokrotne powtarzanie tych samych kroków nareszcie dobiegły końca. Florrie czuła, że Robert ocenia ich indywidualne walory i pracę w grupie. Po zajęciach, nie czekając na nikogo, wybiegła do przebieralni. Chwyciła swoje rzeczy i opuściła niepostrzeżenie budynek. Zwykle ta podróż zabierała jej więcej czasu, ale dzisiaj już w dwadzieścia minut znalazła się w salonie Luki Campeny.

— Carissima! — przywitał ją z entuzjazmem właściciel. — Może wina albo kawy? — zaproponował.

Na długim, szklanym stole stały resztki lunchu, jego młoda żona i dwie córeczki już wyszły. Światło sączyło się przez półprzymknięte żaluzje. Signor Luka Campena mieszkał w stylowym apartamencie w mieście, a jego posiadłość na wsi stała pusta przez cały rok.

— Proszę trochę wody mineralnej — zdecydowała, gdy wymienili przyjacielski uścisk dłoni. Luca był wysokim mężczyzną o wysportowanej sylwetce, choć zbliżał się już do czterdziestki.

— Przepraszam, że wpadam tak bez uprzedzenia — zaczęła, kiedy podał jej szklankę i wskazał krzesło wytwornym gestem włoskiego dżentelmena.

— Wracasz prosto z próby? — zapytał patrząc na jej kostium i getry, na które wciągnęła w samochodzie spódnicę. Było jej gorąco, nie zdążyła nawet wykąpać się po próbie.

— Luka, dziś przyjechał Robert Howard.

— Benissimo! Już się widzieliście? Jesteś zadowolona? Teraz na pewno zdobędziecie Złoty Wieniec Laurowy. Jego obecność podniesie także prestiż naszego małego festiwalu sztuki.

— Ale, Luka, wciąż nie rozumiem, po co go sprowadziłeś? Przecież szło nam całkiem nieźle.

Luka Campena przewodniczył organizowaniu festiwalu sztuki, mającego na celu przyciągnięcie muzyków, tancerzy, mimów, aktorów i turystów do małego miasteczka Montefiore w gorących miesiącach letnich. Większość z nich stanowili studenci wielu narodowości studiujący we Florencji i Sienie. Dawało im to zajęcie na czas wakacji.

Wieść niesła, że Luka przeznaczył sporą sumkę na to przedsięwzięcie. Mógł sobie na to pozwolić — był bogatym człowiekiem, właścicielem kilku winnic i członkiem spółki

producentów wina z całego regionu. Teraz brakowało mu jeszcze stosownego prestiżu w swoim środowisku.

Wyglądał na urażonego.

— Cara, nie rozumiem. Czy uważasz, że nie jest dobry?

Florrie odstawiła szklanę.

— Och, on jest pierwszorzędny, każdy to przyzna. Ale ty mnie prosiłeś, a właściwie przekonywałeś, żebym ćwiczyła z miejscową grupą.

Nie mogła ukryć rozżalenia.

— Dlaczego mnie nie uprzedziłeś o swoich pomysłach?

Luka pochylił się i poklepał ją po dłoni.

— Chciałem się z tobą wczoraj zobaczyć, dzwoniłem, ale nikogo nie było. Pewnie wyszłaś z jakimś chłopakiem — żartując próbował zepchnąć winę na Florrie.

— W końcu pomyślałem, że będziesz zachwycona taką niespodzianką. Powiedz, że tak nie jest, a poproszę go, żeby odjechał.

Florrie powstrzymała westchnienie. Luka był rozbrajający. Zawsze umiał postawić na swoim. Już kiedyś widziała go w akcji w jednej z winnic.

— Nie, proszę, nie rób tego. Jestem pewna, że zrobiłeś to w dobrej wierze. Po prostu byłam zaskoczona, to wszystko. Musiało być bardzo trudno go namówić. Zazwyczaj jest bardzo zajęty.

Dziwił ją fakt, że zawodowiec tej klasy, co Robert, miał przygotowywać zbieranie studentów na skromny, prowincjonalny konkurs. Liczyła po cichu na to, że Luka zdradzi jakiś szczegół, wyjaśni coś, ale się rozczarowała.

— Mam przyjaciół — powiedział tajemniczo. — Teraz, proszę, pozwól mi zrekompensować ewentualne przykrości. Czy widziałaś już moje winnice na północy? Moglibyśmy tam pojechać. Są bardzo piękne.

— Dziękuję, ale muszę wziąć prysznic i przebrać się.

— Och, oczywiście. Możesz skorzystać z łazienki tutaj.

Luka wstał i podszedł do jej krzesła.

„Co mam zrobić” — zastanawiała się gorączkowo.

Naprawdę lubiła Lukę, ale czuła, że troszkę za mocno mu się podoba. Musiała użyć całego swojego sprytu, żeby wyplątać się z tej niezręcznej sytuacji i pozostać z nim nadal na przyjacielskiej stopie.

— Niestety — powiedziała słabo po włosku — Nie mam czasu. Jestem umówiona z panem Howardem o trzeciej.

Luka zachował się bardzo stosownie.

— Może innym razem — pochylił się nad nią i delikatnie pocałował jej dłoń — kiedy będziesz mniej zajęta.

Znalazłszy się w samochodzie, Florrie nie mogła powstrzymać uśmiechu. Spryciarz z tego Luki!

Florrie brała prysznic czując, jak zmęczenie pomału ustępuje. Ale zamęt w głowie nie znikał tak łatwo. Irytowała ją nie tyle utrata dominującej pozycji w grupie, ile przyjazd Roberta. Tak bardzo przecież pragnęła uciec od przeszłości.

Przyjechała do Włoch ponad dwa miesiące temu, uciekając od angielskiej, zimnej wiosny. Zatrzymała się w nowoczesnym, wiejskim domu na łagodnym tokańskim wybrzeżu, wynajętym od Barclayów, starych znajomych jej rodziców. Było stąd blisko do miasta, którego imię nosiła — Florencji.

Pod wpływem spokoju emanującego z prawie bajkowego krajobrazu, odpoczywała fizycznie i psychicznie. Naderwane ścięgno, dokuczające jej prawie od roku, coraz mniej dawało się we znaki.

Tak więc, kiedy Luka Campena, którego poznała przez Barclayów, zaproponował jej pracę z grupą tancerzy, zgodziła się. Pierwsze lody szybko stopniały i Florrie z zapalem oddała się nowemu zajęciu. Mogła wykorzystać teraz wszystkie swoje pomysły choreograficzne i reżyserskie.

— Och, Robercie — westchnęła, zakręcając wodę.

Swego czasu wmawiała sobie, że jest w nim zakochana. Było to prawie dwa lata temu. Reżyserował wtedy sztukę, w której była rola dla tancerki. Cieszyła się z niej bardzo — w końcu debiut zaraz po ukończeniu szkoły to nie byle co.

W gorącej atmosferze prób wydawało się, że Robert darzył ją nieco większymi względami niż innych. Na dodatek krążyła plotka, że zerwał ze swoją dziewczyną. To wszystko sprawiło, że Florrie spędziła wiele bezsennych nocy marząc o jego ramionach, gorących pocałunkach i miłosnych zaklęciach.

— Szczenięce zauroczenie — powiedziała głośno do siebie.

Teraz była starsza i mądrzejsza. „Nie, już nigdy to się nie powtórzy” — postanowiła.

Założyła jedwabny szlafrok i wyszła na werandę, pozwalając rudym, kręconym włosom schnąć w popołudniowym słońcu.

Usiadła na bujanym ogrodowym fotelu, z lampką wina w ręku. Czesząc palcami włosy, zamyśliła się przez chwilę, a potem zaczęła malować paznokcie u nóg.

Nagle usłyszała za sobą ciche kasznięcie. Drgnęła i niezręcznie przejechała pędzelkiem po stopie, zostawiając czerwoną smugę. Za nią stał Robert, trzymając w dłoni wielki bukiet róż.

— Cześć Florrie. Gałązka pokoju dla ciebie. Czy teraz ze mną porozmawiasz?

Po chwili wahania, wywołanego zaskoczeniem, Florrie zdecydowała się wstać.

— Dziękuję — powiedziała nie swoim głosem. — Włożę je do wazonu. Napijesz się czegoś?

— Tak, proszę. — Szeroki uśmiech rozjaśnił jego bladą twarz, na której widoczne było napięcie.

W chłodnej kuchni mogła nieco dojść do siebie. „Przyszedł do mnie” — myślała z triumfem. — „Ale to przecież jeszcze nic nie znaczy, muszę wziąć się w garść”.

— Na zdrowie — Robert trącił jej kieliszek i szybko dodał:

— Przepraszam, Florrie.

— Co cię tu sprowadza? — spytała nieco patetycznie.

Zaśmiali się oboje, Robert kontynuował:

— Przepraszam cię za dzisiejszy poranek. To oczywiste, że mój przyjazd mógł cię zaskoczyć i zdenerwować. Nie miałem pojęcia, że to ty jesteś Miss Johnson.

— A ty byłeś ostatnią osobą, której bym się spodziewała. Ale to oczywiste, że będziesz najlepszy do tej pracy. Czy to ci odpowiada?

Florrie zastanawiała się przez moment. Wciąż była nieufna.

— Potrzebuję twojej pomocy — dodał cicho.

— A co miałeś na myśli, kiedy zapytałeś „co wy wyprawiacie”? — zapytała ostro.

— Liczyłem, że mnie o to zapytasz. Przysunął się z krzesłem i zaczął wyjaśniać. Florrie nieco zmieszana obserwowała, jak mówił. Zaczął działać jego słynny magnetyzm. Ulegała mu bez oporu. Brązowe oczy Roberta błyszczały, jego twarz utraciła wyraz zmęczenia, a silne ręce podkreślały gestem słowa.

Był ubrany w cienką, niebieską koszulę z podwiniętymi rękawami, rozpiętą przy szyi i dzinsy. Dla Florrie wyglądał bez zarzutu.

— Ty mnie wcale nie słuchasz, Florrie! — zganiał ją.

— Ależ tak, tak, tylko właśnie się zastanawiałam, co ty tu właściwie robisz?

— Mógłbym ci zadać to samo pytanie. Czy ten dom w tak cudownym miejscu jest twój?

— Nie, wynajmuję go od znajomych. Miałam kontuzję, a ponieważ noga nie całkiem jeszcze wydob-rzała, pomyślałam, że to cudowne, jak powiedziałaś, miejsce, może być niezłym uzdrowiskiem.

— Pokaż — powiedział z zainteresowaniem. Delikatnie uniósł jej łydkę i zaczął ugniatać miejsce, które wskazała. Dopiero po chwili Florrie zebrała siły, by ją cofnąć.

— Uważaj na to — ostrzegł. — Nie możesz jej nadwerężyć. Nikt nie chciałby, aby scena utraciła tak obiecującą tancerkę.

— Tylko obiecującą? — Florrie zażartowała, żeby pokryć zażenowanie wywołane pochwałą.

Robert spojrział na nią przyjaźnie.

— A więc zgadzasz się ze mną?

— Co do czego?

— Już mówiłem, przecież słuchałaś?

— Powtórz jeszcze raz, proszę.

Cierpliwie powtórzył. Tym razem Florrie unikała wzrokiem jego twarzy i hipnotyzujących oczu.

— Och, to zbyt trudne — skomentowała.

— Łatwo się poddajesz, Florrie. Myślałem, że lubisz walczyć.

— Lubię. I właśnie dlatego mówię, że wymagasz zbyt wiele od grupki studentów spędzających tu wakacje.

— Och, Florrie. Bądź rozsądna. Wiem, co mówię i co więcej — wiem, co da się zrobić w takich warunkach.

— Nie chcesz chyba, by nazwisko wielkiego Roberta Howarda kojarzyło się komuś z czymś nie całkiem doskonałym?

Pożałowała tych słów, ale ku jej zaskoczeniu nie wyglądał na urażonego.

— To nie jest dla mnie aż tak istotne. Myślę jednak, że będzie się nam dobrze pracowało.

— Nie zgodziłam się jeszcze! Jeśli myślisz, że mógłbyś tak po prostu ...

Ale Robert wybuchnął radosnym śmiechem.

— A już myślałem, że nie masz własnego zdania. Przy okazji, czy ktoś ci już mówił, że jesteś śliczna jak

— Idź już sobie, dobrze?

Ruszył do drzwi, spojrział przez ramię i rzucił:

— To w takim razie do jutra.

Florrie usiadła i spojrzała ze złością na rozmazane paznokcie. Najbardziej denerwowało ją to, że tak łatwo nią manipulował, że w prosty sposób dostawał to, czego chciał — aprobatę dla swoich zawsze świetnych pomysłów.

No i te jego wykręty! Nie dowiedziała się, po co tak nieoczekiwanie przyjechał do Włoch, a było to dla niej bardzo ważne. Czy nie przesadzała, widząc w całej tej sprawie coś podejrzanego?

W nocy spadł drobny deszcz. Kiedy Florrie szła przez ogród do swojego samochodu, trawa była wciąż mokra. Nad odległymi wzgórzami przepływały obłoki. Dzień zapowiadał się piękny i upalny. Florrie rzuciła na tylne siedzenie torbę z kostiumami i ruszyła.

Tej nocy nie spała najlepiej, budziła się kilka razy. Miała dziwne i pogmatwane sny, nie mogła sobie jednak nic przypomnieć poza uczuciem zagubienia i rozterki. Ocknęła się wcześniej, z ciężką głową.

Po śniadaniu, na które składały się owoce, jogurt i miód, postanowiła wyruszyć wcześniej, by rozgrzać się przed przybyciem innych. Robert Howard nie dowie się nigdy o jej słabostkach — postanowiła.

Fiat podskakiwał na wyboistym szlaku, wiodącym z farmy między rozległymi polami ku wiosce i głównej drodze. Na jednym z zakrętów opuściła boczną szybę i zaczęła śpiewać starą, włoską piosenkę o miłości. Głos miała czysty, ale słaby. Delikatny podmuch wiatru rozwiewał jej włosy. Florrie poczuła się lekko, zapomniała już o ciężkiej nocy.

Wkrótce minęła bramę posiadłości Luki Campeny. Zakurzony podjazd prowadził do dużej altany stojącej nie opodal głównego budynku. Była to duża, ośmiokątna budowla o owalnych oknach, umieszczonych w ozdobnych niszach. Sączące się przez nie słońce oświetlało marmurowe filary i drewnianą podłogę. W środku znalazło się miejsce nie tylko na scenę, ale także na kilka przebieralni i magazynów.

Florrie zaparkowała samochód obok wejścia i wysiadła. Nie zamykała wozu, bo któż mógłby kraść w samym sercu ogromnej winnicy? Podbiegła do podwójnych, drewnianych drzwi. Kiedy wkładała klucz do zamka zauważyła, że drzwi były lekko uszkodzone tuż koło dziurki od klucza.

— Wczoraj tego chyba nie było — wyszeptała do siebie. — Trzeba będzie to naprawić.

Przejechała palcem po nacięciach i drzwi drgnęły pod dotykiem. Zorientowała się, że nie były zamknięte. Serce zabiło jej mocniej. Powoli weszła do środka.

Widok był zaskakujący: okropny nieporządek, cała podłoga zasłana butami i ręcznikami, strzępami kostiumów i ubrań. Przesunęła się na środek i zobaczyła, że mała scena jest zdemolowana, a deski miejscami połamane. Jeden róg sceny osunął się w miejscu, gdzie wyrwano podpórkę. Fortepian był rozbity, pod stopami chrzęściło szkło z wybitych szyb. Najgorzej jednak wyglądały ściany — ktoś powypisywał na nich wulgarne hasła zieloną, czerwoną i srebrną farbą.

„To niemożliwe, po prostu niemożliwe” — Florrie ciężko oddychała. Zrobiło się jej słabo ze zdenerwowania. Czy czasem nie śniła?

Rozgniewała się.

— Kto mógłby zrobić coś takiego? — zapytała głośno, opuszczając ręce w geście bezsilności. Nie było odpowiedzi. Przez okno wleciała jaskółka, pokręciła się chwilę i wyleciała.

Warkot samochodu wyrwał Florrie z zamyślenia. Z trudem przedostała się przez sterty śmieci i skierowała do wyjścia.

Robert Howard, jak zwykle spokojny i zadowolony, zamykał drzwi od samochodu. Uśmiechnął się i pomachał do niej.

— Hej, Florrie! No i kto tu jest rannym ptaszkiem? Podeszedł bliżej i zauważył wyraz jej twarzy.

— O co chodzi? — chwycił jej drżącą dłoń.

— Och, Robercie! To okropne, okropne! Całe to miejsce, wszystko — zdemolowane, zniszczone.

Słuchał jej z rozbawieniem. To, o czym mówiła, wydawało mu się niedorzeczne. Gdy wreszcie pojął, krew odpłynęła mu z twarzy. Zamarł. Dopiero po chwili wykrztusił z siebie:

— O co chodzi? Nie rozumiem. Musimy coś z tym zrobić. Zadzwoń na policję. Trzeba zawiadomić innych, skontaktować się z panem Campeną. Nikt nie powinien tam wchodzić, zanim nie przyjedzie policja i nie obejrzą wszystkiego. Zrobilibyśmy tylko większy bałagan. Ty zostań na zewnątrz i pilnuj. Wyjaśnij każdemu, co się stało, a ja zadzwonię. Miejmy nadzieję, że znajdą tych wandalów.

Ostatnie słowa wykrzykiwał już z samochodu. Szybko ruszył i zniknął w chmurze kurzu. Florrie, wciąż oszołomiona, stała na schodach.

Wokół panowała cisza. Świerszcze sennie cykały w suchej trawie, wróble ćwierkały, zażywając kąpieli w piasku.

Florrie wzdrygnęła się. Co Robert powiedział? „A więc znowu się zaczyna”. Wszystko to było takie niezrozumiałe, zagadkowe. Niezbyt to się jej podobało.

Nie uspokoiła się jeszcze całkiem, gdy zobaczyła w oddali Weronikę i Marię. Jechały na skuterach. Kiedy zaparkowały, zdała im krótką relację.

— Czy masz jakieś świece, Florrie?

— Tak! Muszą tu być świeczki!

— Chyba w szufladzie za tobą powinno być kilka ...

— Czy mógłbyś podać wino?

— Gdzie jest sałatka? Czy nic już nie zostało?

— Postawiłam pod stołem, zawadzała trochę...

Towarzystwo zasiadało wokół stołu w kuchni Florrie, tocząc wesołe rozmowy. Jedli przygotowaną naprędce kolację. Każdy pomagał jak mógł, stół ugiął się więc pod ciężarem misek i talerzy pełnych spaghetti, pieczonych ziemniaków, sałatek, pomidorów, zimnych włoskich sosów, chleba, a przede wszystkim litrowych butelek wina. Przyniesiono je wprost z piwnic małej winnicy.

Mieli za sobą męczący dzień. Godziny oczekiwania na policję, przesłuchania, dyskusje nad sensem prowadzenia dalszych prób, ciągłe spekulacje na temat sprawców. Każda godzina owocowała nową teorią.

W końcu znaleźli świece. Ktoś zgasił światło. Na moment zapadła cisza, po chwili rozległy się okrzyki i śmiechy.

Panował swobodny nastrój; czuli, że przeciwności losu zbliżają członków grupy do siebie.

Jedna z siedzących przy stole osób podniosła się i zbliżyła do Florrie.

— Muszę już iść, Florence — powiedział cicho Robert. — Wyjdiesz ze mną na moment?

Wstała, podczas gdy on żegnał się z pozostałymi.

Na zewnątrz powietrze było świeże i chłodne. Poszli w stronę samochodu Roberta, porzuconych niedbale rowerów i skuterów oraz kilku innych samochodów, ze zdezelowanym jeepem Briana na czele.

— Dziękuję, Florrie, że pozwoliłaś korzystać ze swojej szopy.

— Nie jest moja i w ogóle...

— Wiem, jest za mała, podłoga może się zarwać, a Sally ciągle będzie napotykać zdechłe owady. Ale lepsze to niż nic, a musimy nadal pracować.

— Jak długo będą naprawiać altanę?

— Kilka dni... może tydzień. Luka był wściekły, ale udało mu się od razu znaleźć robotników. Tymczasem będziemy ćwiczyć w szopie, zgoda?

— Oczywiście. Czy mam powiadomić resztę... O ósmej, tak?

— Tak jak zwykle. Dyscyplina to podstawa. Nie możemy beztrosko popuszczać sobie cugli.

Zapadła niezręczna cisza. Florrie zastanawiała się, jak zatrzymać go jeszcze choć przez chwilę. Trudno było w ciemności wyczytać coś z jego twarzy.

Robert pogładził delikatnie jej włosy. Florrie nieśmiało położyła dłoń na jego ramieniu.

— Robercie... — zaczęła, nie wiedząc jak sformułować pytanie. — Co miałeś na myśli, kiedy powiedziałeś rano: „Znowu się zaczyna”?

Odsunął się prędko. Głos miał stanowczy, prawie szorstki, gdy odezwał się do niej:

— Mylisz się. Nie mówiłem nic podobnego.

— Ale czy nie zdajesz sobie sprawy z tego, że dzieje się coś dziwnego? Najpierw nieoczekiwanie przyjeżdżasz ty, zaraz potem ten głupi „kawał”. Czy to nie wiąże się ze sobą? W każdym razie daje sporo do myślenia... Nie myśl tylko, że ja...

Zapłatała się. Zaczęła żałować swojej dociekliwości. Po co w ogóle poruszyła ten temat?

— Nie sugeruję oczywiście — ciągnęła dalej, teraz bardzo ostrożnie — że mógłbyś mieć coś z tym wspólnego... Może mogłabym w czymś pomóc?

— Nie trzeba. A jeśli chodzi o twoje domysły, to jest to po prostu zbieg okoliczności. Ale dzięki za troskę. Nie martw się, wszystko będzie dobrze.

Pochylił się, lekko pocałował ją w policzek, wsiadł do samochodu i odjechał.

Powoli wracała do domu. Z roztargnieniem dotknęła policzka, na którym czuła jeszcze muśnięcie jego warg. Ten drobny gest wywiał z jej głowy wszelkie złe myśli.

Kiedy weszła do kuchni, zapadła cisza. Czuła, że wszyscy bacznie ją obserwują. Uśmiechnęła się i spojrzała wyczekująco. Rzuciła pytająco:

— Więc?

— Co więc? — domagała się Marie.

Jej drobna twarz wyrażała nieposkromioną ciekawość.

— Co powiedział wielki Robert Howard?

— Och, przekazał tylko parę szczegółów dotyczących jutrzejszej próby. No i długo rozwodził się nad strasznymi konsekwencjami dzisiejszego pijaństwa.

Nikt nie zareagował na żart. Florrie wiedziała, że w czasie jej nieobecności roztrząsali jakiś istotny dla nich wszystkich problem.

— Oj przestań, Florrie! Możesz nam zdradzić swój sekret — powiedział w końcu Brian, najstarszy z grupy. — Wy znaliście się przedtem, prawda? Widać to po waszym zachowaniu. Czy to ty go poprosiłaś, żeby przyjechał? Czy z jakiegoś innego powodu facet tej klasy, zawodowiec, zająłby się przygotowaniem grupki studentów do konkursu, o którym mało kto słyszał?

Florrie bacznie przyglądała się twarzom ludzi siedzących wokół stołu. Męskie, twarde rysy Briana; Maria; Weronika ze swoimi złotymi włosami i dużymi poważnymi oczami. Don i Mark — obaj ciemni i silni; Luisa o wiecznie poplątanych włosach i uśmiechniętych ustach; zawsze cicha Sally, która zdawała się w tańcu mówić ciałem; delikatnadiawczęca twarz Neil, no i wysokie, rude bliźniaczki, Sue i Seb, siedzące naprzeciwko.

Znała ich dobrze, pracowali razem od kilku tygodni. Teraz patrzyli na nią trochę obco, jak na osobę, która zaczyna tracić ich zaufanie. Nie chciała kłamać, winna im była wyjaśnienie.

— Tak, znałam Roberta, ale nie za dobrze. Reżyserował moje pierwsze przedstawienie na West Endzie. Swoim przyjazdem tutaj zaskoczył mnie tak samo, jak was.

— On przecież zajmuje się głównie dramatem — wtrącił Don.

— Howard uważa, że taniec to część teatru. Mówi... Florrie przerwała, bo Sally krzyknęła ostro i potarła ręką twarz.

— O co chodzi?

— Co się stało, Sal?

— Coś... Coś na mojej twarzy. Przestraszyłam się...

— To pewnie komar.

— Albo wiatr...

Wszyscy próbowali ją uspokoić, ale jej oczy wciąż były pełne strachu.

— Nie, to było coś innego...

Nie dodała już nic, ale wszyscy wiedzieli, co miała na myśli. Florrie przypomniała sobie z drżeniem, jak Luisa kiedyś opowiadała, że Sally ma tak zwany szósty zmysł i jest bardzo wrażliwa na pewne dziwne, niewytłumaczalne zjawiska.

Co wyczula? Niektórzy rzucali spłoszone spojrzenia w nieosłonięte okna i instynktownie przysunęli się do siebie.

Rozmawiano jeszcze przez chwilę, głównie o wydarzeniach minionego dnia, lecz mała uroczystość powoli dobiegała końca.

ROZDZIAŁ II

Gdy sprzątnęli po kolacji i umyli talerze, było już po północy. Kuchnia pogrążyła się w ciemności. Większość tancerzy odjechała.

Brian i Sally, którzy mieszkali najdalej, zdecydowali się zostać na noc. Weronika też została. Popijając wino usiadła z Florrie na werandzie.

— Dziewczyny zaprzyjaźniły się. Ciche i wrażliwe usposobienie Weroniki uzupełniało się z bardziej aktywną naturą Florrie. Chodziły na wycieczki po okolicy, pływały razem. Lubiły swoje towarzystwo.

— Florrie, muszę ci coś powiedzieć — zaczęła Weronika. — Nie mówiłam nikomu, nawet policji, ale teraz zastanawiam się, czy dobrze zrobiłam. Chciałabym wiedzieć, co o tym sądzisz.

— O co chodzi? — zapytała Florrie przygotowując się na coś nieprzyjemnego. Weronika nie należała do osób, które zawracają komuś głowę bez potrzeby.

— Słuchaj, to było wczoraj wieczorem. Zapomniałam zabrać swój kostium, a musiałam coś w nim poprawić. No i wróciłam po niego do altany. Jechałam na skuterze, było ciemno-, bo reflektor jest dosyć słaby, szczególnie gdy jedzie się wolno. Ale jestem pewna, że kogoś widziałam.

— W altanie?

— Nie było światła, trochę mnie to zdziwiło. Widziałam je, podjeżdżając do szopy. Potem zgasło. Słyszał, że idę, więc szybko schował się za róg.

— I co zrobiłaś?

— Wzięłam to, po co przyszłam i pojechałam do domu.

— Nie bałaś się? Czemu nie powiedziałaś policji? Przecież jego rysopis mógłby...

— Nie, nie bałam się, bo go rozpoznałam. To był Robert Howard.

— Och.. — Florrie drgnęła zaskoczona. Nie wiedziała, co powiedzieć.

— No, to chyba wszystko w porządku. On ma prawo tam zaglądać.

— Wiem, dlatego nic nikomu nie mówiłam. Powiedziałam policji, że byłam tam koło dziesiątej i nic nie zauważyłam. Ale to mimo wszystko jest dziwne. Powinien chyba coś o tym wspomnieć, a zachowuje się, jak gdyby nigdy nic. Uważasz, że dobrze zrobiłam nie mówiąc nic policji?

— Jestem pewna, że to nie miałyby znaczenia. Może wyleciało mu z głowy? Na pewno jest jakieś wyjaśnienie.

— Cieszę się, że tak sądzisz. Tak myślałam, ale musiał mnie ktoś w tym utwierdzić.

Weronika wypila łyk wina.

— Jest bardzo przystojny, prawda?

— Tak, to wszystkich intryguje. Popatrzyła niewinnie na Florrie.

— Ależ nie! Tylko się zastanawiam, czy jest żonaty. To wszystko.

— Nie wiem — odpowiedziała Florie.

Z jakiejś przyczyny poczuła się nieswojo. Czemu nie pomyślała o tym sama? W ciągu dwóch lat taki mężczyzna jak Robert mógł się ożenić albo przynajmniej związać z kimś.

Posiedziały jeszcze chwilę i rozeszły się do łóżek. Po sutej kolacji zaprawianej winem wszyscy spali wyjątkowo dobrze. Nikogo nie dręczyły przykre sny po tym bogatym w niemiłe wydarzenia dniu.

Brian wstał pierwszy. Nocą pogoda zmieniła się. Było gorąco i duszno, a w oddali grzmiało. Zajął się przygotowaniem kawy i porannej szklanki soku pomarańczowego dla Weroniki, Florrie i Sally. Sally wstała ostatnia. Spojrzała na zastawiony stół i Briana nad olbrzymim talerzem jajecznicy. Zanim się do nich przyłączyła, poszła zebrać pranie, na wypadek deszczu.

Po chwili wbiegła do kuchni zdyszana, z szeroko otwartymi oczami. Przerażona wskazała na szopę.

Wszyscy wybiegli na zewnątrz. Białe ściany budynku były zeszpecone smugami farby, tworzącymi niewybredne hasła.

Florrie stała oniemiała i bezwiednie powtarzała:

— Och, nie, nie! Tylko nie to!

Za każdym razem, kiedy Florrie przechodziła przez ogród, nie mogła powstrzymać się od patrzenia w kierunku szopy. Przez świeżą warstwę farby przebijały ślady działalności nocnych intruzów. Swego dzieła dokonali nie tylko na zewnątrz, ale i w środku.

Praca była jednak ważniejsza niż te wydarzenia. Ślady na ścianach liczyły się dla Florrie tyle, co pajęczyna rozpięta w rogu. Sally ciągle nie chciała zbliżyć się do pajęczyny, bo bała się, że spadnie na nią pająk. Maria zaś nie pozwalała tego zniszczyć ze względu na pecha, którego ściągnęłoby nieopatrzne zabicie pająka.

— Jeszcze raz — komenderował Robert. — Luisa, będziesz musiała popracować nad rytmem. Jesteś za wolna i mylisz Neil. No, spróbujmy od nowa.

Tego ranka ćwiczyli już od dwóch godzin. Robert wymagał, żeby tańczyli cztery godziny dziennie, ale nikt nie narzekał. Trzeba było dopracować pierwszą część spektaklu. Opierała się ona na pomysłe Florrie, ale Robert znacznie ją skrócił. Florrie musiała przyznać, że w obecnej, uproszczonej formie, układ był o wiele lepszy. Robert, mimo że nie był tancerzem, miał bezbłędne wycucie, a poza tym, dokładnie wiedział, czego chce.

Następna część miała być bardziej rozbudowana. Florrie cieszyła się z długich godzin, które spędzali razem, tworząc z jego pomysłów układ choreograficzny.

— Nie, Luisa! Tak jest jeszcze gorzej! Spróbuj razem ze mną.

Robert stanął za dziewczyną, położył dłonie na jej biodrach. Jej kręcone włosy opadły na ramię.

— Teraz — wolno, wolno. Raz, dwa, trzy... i obrót!

Przerobili to ze dwa razy. Puścił ją i zaczęli jeszcze raz, już we właściwym tempie.

Tym razem udało się jej wykonać pełen obrót, ale zakończyła w złą stronę.

— Wiem, wiem — powiedziała szybko, nim zdążył ją zganić. — Przepraszam.

Robert wziął głęboki oddech, widać było, że z trudem powstrzymywał się od wybuchu. Jak dobrze Florrie znała ten widok — kiedyś często się zdarzało, że ona była przyczyną jego złości.

Robert rzucił wyzwanie myślącym się nogom Luisy. Florrie wiedziała, że w tym przypadku może przegrać. Im więcej będzie się na tej nieśmiałej dziewczynie koncentrował, tym gorzej będzie jej szło.

„Proszę, tylko nic nie mów” — modliła się w duchu.

Gdyby Luisa starała się przebrnąć przez te słowa, na pewno poprawiłaby się. Florrie zacisnęła zęby. Pragnęła wstawić się za dziewczyną, ale nie mogła przecież podkopywać autorytetu Roberta.

Robert pozwolił sobie tylko na kilka docinków, i to półgłosem. Kontynuowali próbę.

Tego dnia kilkoro z nich tańczyło wyjątkowo źle. Weronika, w rytm muzyki jazzowej, beznadziejnie miotła się wokół partnera, Neil nie była w stanie wykonać prawidłowo kroków jęte które zazwyczaj nie stanowiły dla niej problemu.

Najwięcej błędów popełniała jednak Luisa, dostając za nie sporo przykrych uwag. Florrie stwierdziła z ulgą, że drobne pomyłki nie były tak widoczne, ale mimo to martwiła się. '

Robert źle ich dzisiaj prowadził, ćwiczenia były zbyt męczące. Może z powodu pogody nie czuli się najlepiej. Było nieznośnie duszno i bezwietrznie. Powoli nadciągała burza.

— Dobrze, dobrze. Już dalej nie mam siły. Wy chyba też jesteście u kresu wytrzymałości. Zróbmy przerwę. Spotkamy się na wieczornej próbie.

Zmęczeni, w milczeniu powlekli się do domu. Robert robił notatki. Florrie czekała na niego ocierając pot z czoła. Zdecydowała się na stanowczą rozmowę.

— Masz mi coś do powiedzenia? — zapytał. — O co chodzi?

— Tak, mam.

— To brzmi złowroźnie. — zamknął notes. — No, dalej, a może wolisz najpierw coś zjeść?

— Nie, wolę teraz. Słuchaj Robercie. Znam twoje metody pracy i wiem, że ciężko pracujesz. Ale chyba nie postępujesz z nami we właściwy sposób.

— Ach, tak! Oczywiście opierasz się w tych sądach na wieloletnim doświadczeniu choreografa?

Florrie oburzona, mówiła cicho i dobitnie.

— Przestań, Robercie. Chcę ci pomóc, przecież mnie prosiłeś, czyż nie? Chodzi szczególnie o Luisę. Jeśli jej trochę popuścisz, to szybko się podciągnie. Jestem tego pewna.

— Bierzesz za nią odpowiedzialność? Florrie podniosła wyzywająco głowę.

— Tak, jeśli ci na tym zależy... Pamiętaj, że ostatni tydzień był raczej męczący. Najpierw ci wandale w altanie, teraz te hasła tutaj. Nie były to idealne warunki do pracy.

Robert zastanawiał się, co jej powiedzieć.

— Dobrze, Florrie. Zgadzam się z tobą. Ale ja także przez to przeszedłem. Zawodowiec nie może pozwolić, by jakieś zewnętrzne przyczyny zakłócały jego pracę. Myślałem, że to rozumiesz.

— Oczywiście. Ale ty jesteś inny — doświadczony i silny...

Florrie zaczerwieniła się, nieco zmieszana. Robert uśmiechnął się nieznacznie.

— Tak? Tak mnie widzisz? — zapytał cicho. — Osobnik pozbawiony wszelkich ludzkich odruchów...

— Hm, nie to miałam na myśli. Chociaż... tak, uważam, że górujesz nad nami w wielu sprawach. — Florrie próbowała się uśmiechnąć.

— Ojej! Ale masz o mnie wysokie mniemanie! Jestam teraz przytłoczony ciężarem odpowiedzialności...

Robert ugiął się pod wymagowanym brzemieniem.

— Czy pomożesz mi dojść do samochodu? — oparł się o nią i poczłapali przed siebie, śmiejąc się i żartując. Słońce świeciło mocno, a sucha trawa szeleściła pod stopami.

— Jadę sprawdzić, czy altana jest już gotowa. Może masz ochotę się przejechać?

Florrie zawahała się. Bardzo chciała pojechać, ale Luka Campena zapowiedział, że wpadnie do niej, więc z ciężkim sercem odmówiła.

— Dobrze — odparł wesoło. — To do zobaczenia. Pocałował ją w czoło i wsiadł do samochodu.

— A przy okazji — powiedziała Florrie, pochylając się nad nim — zapomniałam ci powiedzieć, że mam jeszcze jedną sugestię. Pracujemy tak ciężko, przydałoby się trochę wolnego... Przecież to nie gale-ry!

— Oj, nie przesadzaj, bo się pogniewamy! — Robert uśmiechnął się, poklepał ją po policzku i odjechał.

Kiedy Florrie weszła do kuchni, wszyscy siedzieli wokół stołu, dookoła leżały w nieładzie ubrania, w których dzisiaj ćwiczyli. Na stole stała otwarta butelka wina. Niektórzy już się częstowali, ale atmosfera nie była dobra.

— Cześć! — powiedziała wesoło. Brian podniósł kieliszek.

— Dołącz się — wzniosł dramatycznie rękę, parodiując Roberta. — Wznies toast za zawiedzione nadzieje.

Florrie usiadła. Nalała sobie wina i upiła trochę.

— Brzmi niewesoło — stwierdziła i zaraz dodała: — Co się z wami dzieje?

— To przeze mnie — zaczęła Luisa. — Nie dam rady. Wiem, że nie mogę. Byłam fatalna dziś rano. Zawiodłam wszystkich...

— Przecież każdemu dzisiaj gorzej szło. — Florrie próbowała dodać jej otuchy. — Gdybyś popatrzyła na mnie, na przykład, zdziwiłabyś się, ile błędów zrobiłam!

— Tu nie chodzi tylko o Luisę, ale o wszystkich. To dla nas za trudne — powiedziała Neil poważnie. — Jesteśmy na takie wyczyny za słabi kondycyjnie. Ten układ jest zbyt skomplikowany.

— Ale przecież dopiero zaczęliśmy. Mamy sporo czasu, ponad tydzień. Czemu nie poświęcić tych paru dni? Nagroda nie jest aż tak ważna. Chyba wystarczy, że się przy okazji czegoś nauczymy.

— To nie wystarczy Robertowi — wtrąciła Weronika. — On chce zwycięstwa za wszelką cenę.

Florrie patrzyła ze zrozumieniem.

— Proszę, przemyślcie to dokładnie. Ja osobiście jestem pewna, że się uda.

— Ty to masz dobrze — w głosie Marii zabrzmiała gorycz. — Ty i ten „wszechwiedzący” świetnie się rozumiecie. Zdjął z ciebie odpowiedzialność. Jesteś w porządku. Ci nieudolni — to my. Nasze niedociągnięcia są analizowane i roztrząsane.

— Wcale tak nie jest — zaskoczona Florrie nie wiedziała, jak się bronić. — A tak naprawdę, to ja...

— Nie zwracaj na nią uwagi, Florrie. Ona nie lubi się wysilać. Ale pochwały lubi! — powiedziała głośno Sue, rzucając Marii spojrzenie pełne nagany.

Zbulwersowana dziewczyna poderwała się gwałtownie.

— Ja?! Przecież to właśnie ty...

Florrie patrzyła z rozpaczą na zebranych. Nic już nie mogło powstrzymać wybuchu gwałtownej sprzeczki. Mark i Seb przekrzykiwali się, Luisa, purpurowa na twarzy, była bliska płaczu. Brian rozlał wino na serwetę i kręcił głową z dezaprobatą. Mark wykrzykiwał coś przykrego wskazując na Florrie, podczas gdy Weronika bezskutecznie próbowała całe towarzystwo uspokoić.

Cichy głos Sally z trudem przebił się przez wrzawę. Odzywała się rzadko, bo była nieśmiała i trochę się jąkała. Wszyscy umilkli.

— To nie jest wina Florrie! A my robimy, co się da. To jakiś pech albo Jonasz nam zawadza.

— Jonasz? — zapytali zdziwieni.

— Ten pech, który rias prześladuje, wszystko psuje. Byliśmy przyjaciółmi, a teraz — popatrzcie! Zaczynamy ze sobą walczyć. Przeczuwałam to, pamiętacie?

Zapadła cisza. Neil mruknęła pod nosem.

— Jonasz w skórze Roberta Howarda, tak coś czuję.

— Przestań — Maria uciszyła ją, rozglądając się z niepokojem. Florrie zauważyła, że i inni poczuli się nieswojo.

Tak zastał ich Luka Campena. Gdy wszedł Luisa, która siedziała tyłem do wejścia, wydała cichy okrzyk.

— O co chodzi? — zapytał zmieszany, widząc strach w ich oczach. Jego wykwinna angielszczyzna zawodziła go w takich chwilach.

Sue zachichotała.

— A może to jest ten twój Jonasz?

Nikt lepiej nie pasował do tego określenia, jak ten duży Włoch, z wyrazem bezgranicznego zdumienia na twarzy. Głośny śmiech wybuchł wokół stołu, rozpraszając napiętą atmosferę. Nawet Sally wtórowała.

— Jak powiedziałeś? Jonasz? Co to znaczy? — zapytał Luka.

Florrie posadziła go i podała mu kieliszek.

— To ktoś, kto przynosi pecha — wyjaśnił Mark.

— Ja? Chyba nie sądzicie... Rozumiem. Mówicie o włamaniu. Ale mam dla was dobre wieści. Złapano tych łobuzów.

— Co?!

Wszyscy się poderwali. Zachęciło to Lukę do kontynuowania.

— Tak jak sądziłem, było to dwóch chłopaków z miasteczka Castella, przyjaciele rywalizującego z nami zespołu. Byli zazdrośni o wasze sukcesy i zdecydowani przeszkodzić za wszelką cenę.

Luka był dumny ze swojej angielszczyzny.

— Nadmiar temperamentu. To typowe dla nas, Włochów.

Teatralnym gestem opuścił ręce, co miało oznaczać bezradność.

— Policja odszukała ich dzięki śladom, które zostawili. Znajdują się pod baczłą obserwacją i z ich strony nie powinno być więcej kłopotów.

Wszyscy domagali się więcej szczegółów, ale nie było już nic więcej do opowiedzenia. W miłej atmosferze dokończyli posiłek.

Robert był zaskoczony ich zapałem do pracy. Przed południem byli przecież zniechęceni i rozgoryczeni. Nie mniej niż oni cieszył się z ujęcia włamywaczy. Może dlatego chciał im dać wolny dzień? Wspólnie ustalili, że wystarczy tylko popołudnie i wieczór.

Weronika została tego wieczoru z Florrie, aby omówić sprawę kostiumów. Pożyczyła z biblioteki kilka książek i przyjemnie spędziły czas przeglądając je, robiąc notatki i szkice. Motywem przewodnim drugiej części programu była magia i iluzja, zdecydowały się więc na proste i niezbyt kosztowne tuniki z jasnej gazy, ozdobione kokardami i szarfami.

— To powinno się spodobać Robertowi — rozważała głośno Weronika, stukając ołówkiem w kart-kę.

— Dlaczego?

— Bo w pewnym sensie jest on czarodziejem. Rzuca na nas zaklęcia, każe stwarzać pozory, czaruje widownię.

Tak samo rozumiała to Florrie, ale nie umiała wyrazić swego podziwu.

— Tak, robi dobrą robotę. Moje umiejętności nie umywają się do tego, co już pokazał. Przy okazji, czemu Maria była tak niemila po porannej próbie?

— E... nie sądzę, aby robiła to celowo. Bardziej niż innych zaniepokoiło ją to, czy ta nieoczekiwana zmiana prowadzącego wyjdzie nam na dobre. Ona w ogóle jest trudna, nawet jako współlokatorka.

Maria dzieliła pokój z Weroniką i Sue w dużym hotelu w Montefiore, gdzie tradycyjnie zatrzymywali się studenci z różnych krajów.

— Zawsze muszę robić za rozjemcę! — zakończyła Weronika.

— A może byś zamieszkała ze mną? — zaproponowała Florrie. — Tu jest tyle miejsca.

Dziewczyna zawahała się.

— Dziękuję, to miło z twojej strony. Ale ja chyba wolę mieszkać w mieście, tutaj jest dla mnie za spokojnie. Chyba, że czujesz się samotna...

— Och, nie! Bardzo mi tu dobrze. Ostatnio potrzebowałam trochę samotności.

Florrie była zaskoczona odmową, ale nie nalegała. Weronika była ostatnio jakaś dziwna.

Pożegnały się wkrótce. Florrie za późno przypomniała sobie, że chciała jeszcze o czymś porozmawiać. Trochę ją ta sprawa nurtowała i potrzebowała bratniej duszy, by się zwierzyć.

Tego dnia Luka poprosił ją na stronę w pewnej, jak to określił, sprawie prywatnej. Chwyił ją mocno za rękę, spojrzał namiętnie w oczy i wypytywał o to, co zamierza robić po konkursie.

Uwalniając dłoń wyjaśniła, że chce wrócić do Anglii. Zostałaby tutaj jeszcze tydzień, aby odpocząć po emocjach.

— Och, ale Anglia jesienią jest taka okropna — powiedział.—Zimno, ciągle pada. Musisz mieć jakiś inny, poważniejszy powód, żeby tam jechać akurat na jesień.

— Nic szczególnego. Mają przyjmować nowych ludzi do pantomimy, poza tym jeszcze inne rzeczy...

— A może myślisz, że signor Howard będzie tam coś wystawiał? — w głosie Luki zabrzmiała nuta złośliwości.

Florrie lekko się zarumieniła. W końcu nie była to jego sprawa. Nawet jeśli odkrył jej sekret, nie miał prawa czynić takich uwag.

— Raczej nieprawdopodobne, aby nasze drogi się zeszły — powiedziała trochę na odczepnego. — Obracamy się w różnych kręgach. Czy zwierzał się ze swoich planów?

Luka wzruszył ramionami.

— Zapewne nie więcej niż tobie. Ale, Florrie, zanim się na coś zdecydujesz, rozważ moją propozycję. Sponsoruję Centrum Sztuki w Montefiore. Jeśli byś chciała, znalazłoby się tam dla ciebie miejsce.

— To bardzo uprzejmie z twojej strony... — zaczęła, zaskoczona ofertą. Była ciekawa, czy pozostałym także to zaproponował.

— Nie wiem, czy można nazwać to uprzejmością — przerwał. — Jesteś w tym dobra. Signor Howard też tak sądzi. Jestem przede wszystkim biznesmenem.

— Naprawdę? Robert nie mówił o tym.

— I oczywiście mój dom zawsze byłby dla ciebie otwarty...

Florrie spojrzała badawczo, chcąc odgadnąć jego intencje. Mogła to być jeszcze jedna sztuczka, by zdobyć jej sympatię. Bez powodu tak by się nie starał. Na wszelki wypadek postanowiła wykręcić się od wszelkich wiążących decyzji.

— Jesteś niepoprawny — uśmiechnęła się i zabawnym ukłonem dodała wiarygodności swojemu żartobliwemu tonowi. — Pomyślę o tym. Mieszkanie będzie tu ważnym elementem. Właściciele domu będą chcieli tu wrócić na zimę...

Luka gestem ręki ofiarował swoją wszechstronną pomoc.

— Ale powinnam sama załatwiać swoje sprawy.

— A może klasztor? — zażartował. Roześmieli się.

Florrie zaczynała wierzyć w szczerość propozycji Luki. Jego uwodzicielskie maniery mogły być po prostu objawem typowej włoskiej uprzejmości wobec kobiet.

Florrie ciążyła dawna znajomość z Robertem. Przeszłość powodowała, że często czuła się niezręcznie. Zresztą, w małej grupie, pochłoniętej wspólnymi obowiązkami, trudno było żyć bez rywalizacji czy zazdrości.

Rady Roberta, mimo wszystko, były jednak bardzo cenne. Gdyby mogła porozmawiać z nim choć chwilę, ale ciągle coś załatwiał. Choreografia była już gotowa i Florrie nie mogła znaleźć pretekstu, żeby się z nim spotkać. Żałowała, że nie pojechała z nim wtedy do altany. Taka okazja! Sami w samochodzie, swobodna pogawędka...

Po tym zdawkowym zaproszeniu Robert nie starał się z nią kontaktować. Całe noce spędzała bezsennie. Było gorąco i duszno, wierciła się w pogniecionej pościeli.

Wyrzucała sobie, że roznieca uczucie, zamiast walczyć z nim. Ten mężczyzna zapanował nad nią silniej niż dawniej. No i stała tam, gdzie kiedyś — w rzędzie uczniów, pragnąca się sprawdzić, gotowa do wyrzeczeń, chłonąca jego uwagi.

Była tylko jedna różnica. Miała teraz 23 lata, była starsza i mądrzejsza. Nie była już młodą pasjonatką sceny, tylko ciężko pracującą, dobrą tancerką.

Poza Robertem nie spotkała do tego czasu żadnego interesującego mężczyzny.

Czuła się fatalnie. Wiedziała, że to nie jest fascynacja, lecz dojrzałe uczucie, sprawdzone przez czas. Ogarnęło ją zniechęcenie.

Jak to Weronika określiła, Robert był czarujący, owijał sobie każdego wokół palca. Florrie budziła się każdego ranka z myślą o nim. Zamykała wieczorem oczy i rozmyślała o wszystkim, co zrobił lub powiedział. Ciągle kontrolowała się, by nie zdradzić swych uczuć. Bała się kąśliwych uwag i niewybrednych żartów.

Luisa przebrnęła przez chwile załamania i dochodziła do formy. Florrie widziała w niej obraz siebie i swoich zmagañ sprzed lat. „A może jestem świadkiem podobnej historii miłosnej?” — pomyślała. Ale wydało jej się to mimo wszystko nieprawdopodobne.

Wstała w wyjątkowo złym humorze. Nocą nadciągnęła silna burza. Poprzedniego wieczoru było duszno, gorąco i wilgotno. Nad odległym horyzontem piętrzyły się chmury. Owady brzęczały natarczywie, złośliwie kąsając, ptaki umilkły, tylko jaskółki krążyły nisko.

Burza rozszalała się dopiero nad ranem. Nagły grzmot obudził Florrie. Nie mogła dalej spać, wsłuchiwała się przez chwilę w odgłosy burzy. Zauważyła, że przez szpary w okiennicach i drzwiach zaczęła sączyć się woda. W dużym pokoju na parterze pojawił się okazały zaciek.

Zabezpieczyła szpary ścierkami. Wypiła herbatę, i Deszcz nie padał już tak mocno. Zdrzemnęła się nieco, mimo to była senna i czuła ból w kontuzjowanej nodze. Wyruszyła jednak na próbę. Niebo było czyste, ale nocna burza pozostawiła wyraźne ślady: leżące pokotem zboże, poszarpane krzaki, wszędzie kałuże.

Altana była już odremontowana, kończono tylko zmywać ślady farby. Wszyscy mówili o burzy. Mark zaklinał się, że na własne oczy widział, jak piorun trafił w drzewo. Seb zaś opowiadała zasłyszaną historię o ognistej kuli, która wleciała do jakiejś chaty kominem, a wyleciała oknem, wyrządzając po drodze sporo strat.

Robert spóźnił się. Zwalone drzewo zatarasowało drogę i musiał nadłożyć wiele kilometrów. Nie nastroiło go to najlepiej. Sue wyszeptała za plecami innych:

— Nawet się nie ogolił, będzie ciężko...

Florrie bardzo spodobał się jego daleki od zwykłej elegancji wygląd — potargane włosy, lekki zarost. Ale kiedy po raz kolejny nerwowo wyłączył magnetofon i wykrzyknął:

— Jesteście jak kaleki! Wszystko źle! Fatalny finał! — zapomniała, kto przed nią stoi, zapomniała zwłaszcza o swojej sympatii do niego.

Kompletnie wyczerpana straciła cierpliwość.

— To ty źle nas instruujesz! — powiedziała z naciskiem. — Powinno być tak!

I zademonstrowała przed struchlałą grupą poprawną wersję. Robert był zbity z tropu.

— Chyba mnie źle zrozumiałeś, Florrie — powiedział. — Czemu nie...

Ale jej gniew rósł nadal.

— Po prostu boisz się przyznać do błędu — krzyknęła. — Powiedziałeś podwójny obrót, a przecież tego nie...

Robert przerwał jej gestem w pół zdania.

— Sądzę, że czas na przerwę. Florrie, chodź ze mną na chwilę.

Obrócił się na pięcie i wyszedł. Zeszła z podestu. Wyczuła raczej, niż słyszała szepty za sobą. Nikt nie był w stanie otwarcie jej poprzec, tylko Weronika uśmiechnęła się lekko, dodając jej otuchy.

Bardzo zmęczona szła powoli w kierunku frontowych drzwi. Bała się trochę tego, co miało nastąpić. Zebrała się w sobie, wyprostowała ramiona, podniosła głowę i przyspieszyła kroku. Nie chciała, by zauważył, że żałuje swojego niefortunnego wystąpienia.

Oparty o samochód, Robert stał ze splecionymi i rękami. Patrzył na nią ostro. !

— Chyba sama wiesz, że postąpiłaś źle. Prawda, | Florrie?

— Tak. A ty, swoją drogą, uważasz, że jesteś nieomylny? Prawie jak papież.

— Wiesz, że to nie ...

— Jesteś najzwyczajszym na świecie despotą. Nic nie można ci powiedzieć bez narażania się.

— Florrie chciała, by tym razem Robert mógł usłyszeć wszystko, co ma mu do powiedzenia.

Przyglądał się jej badawczo. Nie mogła nic wyczytać z jego twarzy. Nie mówił nic, więc umilkła.

— Chciałam tylko wyrazić swój pogląd — zakończyła nieśmiało, czekając na mającą nastąpić tyradę. Ale zamiast wygłosić karcącą mowę Robert delikatnie położył jej ręce na ramionach i przysunął się.

— Od kiedy boli cię noga? — zapytał.

— Noga?... Dlaczego, ja... — próbowała. Ale nie mogła uniknąć badawczego spojrzenia.

— To nic takiego — oświadczyła.

— Zauważyłem, że utkasz. Nic dziwnego, że nie byłaś w stanie wykonać podwójnego obrotu — potrząsnął głową. — Powinnaś mi o tym powiedzieć.

— Nie chciałam zawracać nikomu głowy...

— To przecież żaden wstyd powiedzieć, że coś boli. Lekko nią potrząsnął, by upewnić się, że go słucha.

Florrie zwiesiła głowę.

— Pomyśl, jakie byłyby kłopoty, gdyby twój stan się pogorszył.

Skinęła głową, rozumiejąc do czego zmierzał.

— I jeszcze coś. Nie jestem, jak to ładnie określiłaś, „despotą”. Powinniśmy o tym porozmawiać, prawda?

— Też tak sędzę — wydusiła z trudem. Było jej wstyd.

— Teraz masz pojechać do miasta, wziąć solidny masaż i spędzić resztę dnia z nogą na poduszce. Przyrzekasz?

— Tak, oczywiście. Dziękuję.

— I czy możesz dać słowo, że jutro pójdziesz ze mną na kolację, żeby omówić przy okazji kilka spraw?

Florrie patrzyła na niego zaskoczona. Robert uśmiechał się figlarnie.

— W porządku? — zapytał, drocząc się z nią.

— Tak, tak. W porządku!

ROZDZIAŁ III

Kiedy wróciła do domu, by się przebrać, nikogo już nie było. Wszyscy pojechali na obiad. Szybko się rozebrała, ochlapała twarz zimną wodą, założyła bawełnianą, letnią sukienkę i sandały.

Słońce mocno świeciło, wszystkie ślady nocnej burzy znikły. Florrie opuściła szybę, jechała powoli, rozkoszując się chłodnym wiatrem, kołyszącym cyprysami wzdłuż drogi do Montefiore.

Propozycja spędzenia wieczoru w towarzystwie Roberta przeszła jej najśmielsze oczekiwania. Wiele razy to sobie wyobrażała, ale odpędzała tak niedorzeczne myśli. Powodem tego zaproszenia mogła być tylko chęć omówienia spraw zawodowych. Pewne rzeczy wymagały ustalenia, a termin konkursu zbliżał się. Miał rację, co do jej nogi. Rzeczywiście musi być ostrożna, bo ryzykuje kontuzję w ostatniej, decydującej chwili.

W mieście przestała się nad tym zastanawiać. Specyfika włoskiego ruchu ulicznego wymagała ciągłej koncentracji. Kierowcy szarżowali beztrosko, trąbiąc i pokrzykując na zatłoczonych jezdniach. Zostawiła samochód w cienistej alejce w zabytkowej części miasteczka i skierowała się ku centrum handlowemu.

Większa część Montefiore zabudowana była nowoczesnymi domami wysokimi na kilka pięter, o oknach zasłoniętych pasiastymi roletami. Domy te otaczały wzgórze z odrestaurowanym, starym fortem i katedrą.

Po drodze minęła apartament Luki Campeny i przypomniała sobie o jego propozycji. Jutro będzie świetna okazja, żeby poradzić się Roberta.

Zanim udała się do uzdrowiska, weszła do małego baru, usiadła na wysokim stołku przy kontuarze i zamówiła kawę, wodę mineralną i kanapkę.

Rozglądała się bez zainteresowania wokoło, obserwowała przechodniów i ludzi siedzących przy stolikach. Kątem oka zauważyła znajomą twarz.

Przyjrząwszy się jej dokładnie poznała Weronikę. Już zsuwała się ze stołka, by podejść do przyjaciółki, kiedy poznała jej towarzysza. Był to Brian. Trzymał ją za rękę pochłonięty jakąś zabawną opowieścią. Głośno się śmiali. Pochylił się, pocałował ją w czubek nosa i przytulił z czułością.

Florrie wdrapała się z powrotem na swoje miejsce i kończyła jeść. Nic dziwnego, że Weronika nie chciała się do niej przenieść. Ciekawe, od kiedy trwa ich romans. Byli bardzo dyskretni. A swoją drogą, nic dziwnego, że w zespole powstają takie związki. Wspólna praca, częste prófy sprzyjały nawiązywaniu się bliższych znajomości. Mark przez jakiś czas interesował się Sally — bez powodzenia — ale nie powstały z tego powodu żadne animozje.

Uzdrowisko było supernowoczesne. W wystroju dominowało drewno, ceramika i dużo zieleni. Gorąca para w saunie rozgrzała napięte mięśnie, masaż rozluźnił ją całkowicie. W drodze powrotnej czuła się wspaniale.

W domu czekały na nią dwa listy z Anglii, każdy z inną datą. Od dawna podejrzewała, że listonosz nie marnował czasu na doręczanie pojedynczych listów.

Z ciekawością otworzyła pierwszy, adresowany ręką matki. Jak zwykle pełen był drobnych ploteczek, domowych rewelacji. Tym razem matka sporo miejsca poświęciła rodzeństwu Florrie.

Jej brat niecierpliwie oczekiwał na wyniki egzaminów maturalnych, a siostra wciąż zastanawiała się, co zrobić ze sobą po szkole. Na razie pracowała w kawiarni.

Oczywiście sporo było o pogodzie — nieustannych szarugach.

Drugi pochodził od Faith Barclay, właścicielki domu. Donosiła Florrie, że wracają z mężem za kilka tygodni, ale nie mają nic przeciwko temu, aby została z nimi tak długo, jak tylko zechce. Wspominała też o angielskiej aurze.

Te dwa listy przypomniały Florrie o bliskich i przez chwilę poczuła przejmującą tęsknotę. Wyszła na werandę z chłodnym napojem w rękę, oparła nogę na przysuniętym do fotela krześle. Dookoła brzęczały roje pszczoł, grały cykady. Nostalgia minęła bez śladu. Włochy latem miały stanowczo więcej uroku niż dżdżysta Anglia.

Jeśliby została tu i pracowała u Luki przez następny rok, miałyby gdzie mieszkać, a ponadto lubiła to miejsce. Decyzja została już prawie podjęta. Przyniosła papier i pióro, by natychmiast odpowiedzieć Faith, ale powstrzymała się. „Jutro” — pomyślała nieco rozmarzona. — „Jutro postanowię”.

Florrie i Robert pojechali wynajętym samochodem do miasteczka. Dłuższą chwilę szukali małej restauracji, polecanej przez Sally. Nazywała się „11 Ristorante del Pini” ze względu na zalesione doliny, rozciągające się poniżej. Podawano tam ponoć niezrównane lodowe „bombe”.

Kilka razy zgubili się w gęstniejącym mroku. W końcu wjechali w małą alejkę prowadzącą do podjazdu, udekorowaną kolorowymi lampkami.

Budynek był stary i stylowy. Właściciel, szczupły, i przystojny Włoch, poprowadził ich przez salę na mały, otwarty balkon, gdzie wśród drzewek i krzaków zasadzonych w donicach świeciły lampki. Ich miękka poświata oświetlała drewniany, nieco zniszczony stół.

— Czuję się jak z wizytą u świętego Mikołaja — zauważył Robert, rozglądając się.

— Pięknie — Florrie była zachwycona. Robert uśmiechnął się.

— Dobrze. A co zamówimy? Ostrygi z szampanem?

— Mamy taki wybór. — Florrie przeglądała kartę.

Wspólnie ustalili resztę menu. Robert uśmiechnął się we właściwy sobie sposób, tak, że Florrie czuła, że topnieje pod jego spojrzeniem. Była pewna swoich uczuć. Szybko podniosła do ust kieliszek i wypła duszkiem trochę wina, by dojść do siebie.

Przyniesiono dania. Robert rozejrzał się jeszcze raz.

— Wiem tylko, co chcę na deser.

— Stąd musi być piękny widok. Szkoda, że tak ciemno.

W oddali migotały światła. Nad horyzontem widniała pomarańczowa poświata. Przez chwilę spierali się nad wyborem następnej butelki wina. Potem, jak przewidywała, rozmowa zesłała na przedstawienie i postępy w próbach.

Podobały mu się kostiumy, które zaprojektowała wspólnie z Weroniką.

— Zapomniałem zapytać — powiedział, gdy dokończyli drugie danie — jak tam twoja noga? Nie widać, żeby ci dokuczała.

— O wiele lepiej. Bardzo uważam na nią. Opowiedziała mu o tym, jak przedwczoraj walczyła ze strugami deszczu. Robert uśmieł się serdecznie. W zielonkawym, ciepłym świetle wyglądał młodziej. Z jego twarzy zniknęła bladość, był rozluźniony.

— Wyglądasz o wiele lepiej niż przedtem — powiedziała.

— Częściowo zawdzięczam to tobie.

— Jak to?

— Mogłaś się nie zgodzić na współpracę. Bardzo mi się podobają próby baletu, to dla mnie coś nowego. No i poprawiłem trochę swój włoski. Są też inne rzeczy...

— To brzmi interesująco. Wiesz, wszyscy zastanawiają się, dlaczego bierzesz ten konkurs tak poważnie. Przecież nie dorównuje on rangą innym, w których dotychczas uczestniczyłeś.

Powiedziała to lekko, ale z napięciem oczekiwała na odpowiedź. Może wreszcie zaufa jej i zwierzy się. Machnął ręką z irytacją.

— Mówisz to tak, jakbyś mi miała coś za złe.

— Nieprawda. Ale nie możesz, mimo wszystko, uciec od sławy. A może zależy ci teraz na tym, żeby i odpocząć?

Robert uśmiechnął się zagadkowo.

— Oj, nie próbuj dowiadywać się o ciemne strony i mojego życia — zażartował, robiąc jednocześnie unik.

— Jak długo pozostaniesz we Włoszech? — dalej próbowała coś z niego wyciągnąć.

— Nie wiem. Czekam na wiadomość. A ty?

— Mam pewne plany, chciałam właśnie o tym porozmawiać i zasięgnąć twojej rady. Bo widzisz, Luka Campena...

Twarz Roberta spochmurniała.

— O? Znowu on?

— Myślałam, że jesteście przyjaciółmi — powiedziała niewinnie.

— Jesteśmy. Ale to nie znaczy, że pochwalam wszystko, co on robi.

— Zaproponował mi pracę.

— Jaka? Zbieranie winogron? !

— Nie, chociaż mogłoby to być ciekawe. Ale do rzeczy. Otwiera coś w rodzaju Centrum Sztuki i moja praca miałaby polegać na występach i reżyserii. To bardzo interesujące. Zacząć od projektu, samej prowadzić, realizować własne pomysły...

— Brzmi to tak, jakbyś już wszystko przemyślała — rzucił z urazą w głosie. — Po co więc mnie pytasz? A do tego, o czym mówisz, nadajesz się wyśmienicie.

— Jeszcze się nie zdecydowałam, chociaż miło to słyszeć...

Podano lody. Warstwa czekolady pokryta była kropelkami rosy, śmietankowa masa rozpływała się w ustach.

— A gdzie byś mieszkała? — pytanie przerwało nieco niezręczną ciszę.

— Mogłabym zostać u Barclayów. Faith już mi to proponowała...

— Czyli wszystko dopięte na ostatni guzik? — zmarszczył brwi.

— Wcale nie...

— Jeszcze jedno — nie dawał sobie przerwać. — Signor Campena nie wspominał mi nic o jakimś Centrum Sztuki. Czy jesteś pewna, że to czysta sprawa?

— Dlaczego nie? — Florrie była zaskoczona. — Chyba nie jesteś zazdrosny o to, że nie poprosił najpierw ciebie?

Robert nie mógł powstrzymać śmiechu.

— Och, Florrie!

Położył dłoń na jej ramieniu. Drgnęła czując jej ciepło.

— Po prostu upewniam się, czy jesteś świadoma wszystkich konsekwencji. To nie jest takie proste przenieść się do obcego kraju na tak długo. Z własnego doświadczenia mogę coś o tym powiedzieć.

— Myślę, że potrafię sama dbać o swoje sprawy. Chcę wiedzieć, czy według ciebie będzie to korzystne dla mojej pracy, dla tańca.

Twarz Roberta przybrała dziwny wyraz. Szybko cofnął rękę, jakby się oparzył.

— Nie mogę ci pomóc. Masz rację, sama musisz decydować.

Zabrzmiało to nieco szorstko.

Siedzieli w ciszy. Florrie czuła się niezręcznie. Patrzyła w puchar, gdzie rozplływały się resztki „bombe”.

„To przykre” — pomyślała — „chyba się nie dogadamy...”

Robert był czarującym mężczyzną, lubił pożartować, z zapalem dyskutował o przedstawieniach i innych rzeczach, ale Florrie brakowało w rozmowach z nim szczerości. Z byle powodu zamykał się w sobie.

Podniosła wzrok, zaskoczyło ją zatroskanie na jego twarzy.

— Kochana Florrie — wyszeptał, ujął jej dłoń i delikatnie pocałował. Florrie czuła, że jest bliska omdlenia. Serce waliło jak oszalałe, myśli kotłowały się.

— Nie chciałem doprowadzić do sprzeczki. Pragnąłem poprzez ten wieczór wyrazić swoją wdzięczność...

Florrie bała się spłoszyć ten nastrój. Powtórzyła bezwiednie:

— Wdzięczność?

— Tak. Pomogłaś mi bardziej, niż myślisz. Mam nadzieję...

Nie dokończył.

— Ale zostaniemy znowu przyjaciółmi, prawda?

— Dobrze, przyjaciółmi... Puścił jej dłoń.

— Zamówimy jeszcze likier i kawę, zanim wyjdziemy. Czego się napijesz?

Opuścili restaurację prawie o północy. Czas minął niespodziewanie szybko. Przy stolikach siedziało jeszcze kilka par. Było ciepło, Florrie narzuciła tylko marynarkę na ramiona.

Wolno szli do samochodu. Nagle Robert chwycił ją za rękę.

— Ciekawe, co tam jest? — powiedział i pociągnął ją za sobą w kierunku kamiennego łuku, który wyglądał, jak początek ciemnego tunelu.

— O, nie! — protestowała, potykając się w ciemnościach. — Gdzie jesteśmy?

Coś przesunęło się jej po twarzy, krzyknęła i przylgnęła do jego ramienia. Kiedy wzrok przyzwyczaił się do ciemności, zauważyła, że idą wąską ścieżką pomiędzy wysokimi ścianami zieleni. Na niebie migotały gwiazdy.

Przed nimi lekko coś lśniło i po chwili Florrie zaparło dech.

— Tak myślałem — powiedział Robert. — „Grot-to”.

Roześmiał się i zdradził:

— Widziałem napis.

— Oszust — powiedziała Florrie, udając powagę. Mała sadzawka, pokryta różowymi i białymi

płatkami lilii mieniła się w blasku gwiazd. Słysząc było szmer miniaturowego wodospadu, przelewającego się przez kamienną krawędź. Ukryte czerwone, niebieskie i żółte reflektory oświetlały posążek Kupidyna.

W milczeniu oglądali ten widok. Czują, jak Robert przysuwa ją do siebie. Obserwowała jego profil, podkreślony przez blade światło. Kochała tę twarz. Znała ją tak dobrze, a za każdym razem znajdowała w rysach Roberta coś nowego.

— Podoba ci się? — zapytał.

Podniosła głowę, by spojrzeć mu w oczy. Pochylił się i musnął ustami jej gorące, pragnące usta. Zanurzył ręce w jej włosach i przytulił mocniej. Splotła ramiona na jego szyi, przywarła z całych sił. Całował namiętnie jej oczy, czoło, szyję... Drżała ze szczęścia. Robert pwcyciągnął ją jeszcze mocniej, szukał ust...

Krzyk ptaka przywołał ich do rzeczywistości.

Robert ucałował jej czoło po raz ostatni i z żalem powiedział:

— Lepiej odwiozę cię do domu.

Wolno szli z powrotem przez ciemny tunel. Florrie prawie się słaniała, przyspieszone tętno rozsadzało skronie, miała wrażenie, że słyszczyć bicie jej serca.

Zapytał troskliwie, czy nie jest jej zimno i otulił ciaśniej marynarką, zanim wsiedli do samochodu.

Florrie zastanawiała się, czy zdawał sobie sprawę z tego, ile te pocałunki dla niej znaczyły. Tę scenę wyobrażała sobie tyle razy, ale rzeczywistość przeszła jej najśmielsze oczekiwania.

Czy mogła marzyć o przyszłości we dwoje? Czy to tylko urok chwili kazał się Robertowi tak zachować? Zastanawiała się, czy wypada zaprosić go, aby wszedł na kawę...

Zatrzymało ich czerwone światło. Ocknęła się. Stali przed skrzyżowaniem, z dala od zabudowań.

— Śmieszne miejsce dla sygnalizatora — zauważyła, modląc się o odzyskanie swojego normalnego głosu.

— Tak, dziwnie tak stać, kiedy nie ma... Boże, co to?

Czerwona lampka pulsowała na desce rozdzielczej. Robert patrzył na maskę.

— Czy czujesz coś?

— Samochód się pali! — krzyknął. — Szybko, wysiadaj!

Zaczął mocować się z jej pasem bezpieczeństwa, sam wyskoczył dopiero wtedy, gdy znalazła się na zewnątrz.

Florrie upadła niezgrabnie na kolana obok krawężnika okalającego trawnik. Kiedy próbowała się podnieść, nagły podmuch pchnął ją z powrotem, płuca wypełniły się gryzącym dymem, fala gorąca przeszła po ciele. Leżące nie opodal kłody drzewa zajęły się od wybuchu i płonęły trzaskając. Po chwili zrobiło się ciemno i cicho.

Florrie powoli przychodziła do siebie. Leżała w płytkim rowie, kaszlała i krztusiła się łapiąc oddech. Nie mogła pojąć, co się dzieje. Kompletnie oszołomiona rozglądała się wokół.

Słyszała głosy, ale nie rozróżniała słów. Czyjeś ręce próbowały ją podnieść i postawić na nogi.

Zauważyła zatroskanie starszej, włoskiej pary. On — w letnim płaszczu narzuconym na elegancki, ciemny garnitur, jego żona, o starannie ułożonych siwych włosach, ciągnęła po ziemi poły kosztownego futra. Stali w świetle reflektorów zaparkowanego nieopodal samochodu.

Nie rozumiała, co do niej mówią. Wysokie głosy nerwowo wykrzykiwały jakieś słowa po włosku.

— Proszę pani, pani futro... — tylko to wykrztusiła w oszołomieniu.

Nagle...

— Robert!

Dźwignęła się, ominęła kopzące się resztki samochodu, którym przed chwilą jechali. Wydawało jej się, że od tego czasu minęły całe wieki.

Gdzie on jest? Reflektory oświetlały tylko małą przestrzeń. Dym wisiał w powietrzu. Depcząc po szczątkach, pokuśtykała ku środkowi jezdni.

Robert klęczał parę metrów dalej, kurczowo przyciskając rękę do skroni. Po szyi płynęła krew, jego oczy rzucały wściekle błyski.

— Robert! — zawołała Florrie. — Czy wszystko w porządku?

Jej głos ciągle drżał, choć próbowała to ukryć. Podeszła bliżej, chciała go chwycić za rękę. Odsunął ją. Zobaczyła wyraźnie krwawiące miejsce.

Zacisnął pięści. Usłyszała obcy, charczący głos.

— Nigdy mnie nie dostaniesz, ty świni! Nie przeszkodzisz mi. Prędzej wyślę cię do piekła!

Florrie doszła do siebie w blasku szpitalnych lamp, pośród drażniących zapachów lekarstw i lizolu. Teraz przypomniwała sobie wszystko w szczegółach.

Włoskiemu małżeństwu, jak się później okazało państwu Francchi, udało się namówić Roberta, by wraz z Florrie wsiadł do samochodu, po czym zawieźli ich do najbliższego szpitala.

Robert, przymknąwszy oczy, siedział w rogu tylnego siedzenia i przyciskał chusteczkę Florrie do krwawiącej skroni. Florrie ujęła delikatnie jego dłoń. Lekko ją uściśnął, ale nic nie powiedział. Upewnił się już wcześniej, że odniosła tylko drobne obrażenia i teraz milczał.

Signor Francchi potrząsnął z niedowierzaniem głową, głośno z żoną wyrażali swoje przerażenie i współczucie. Signora Francchi ciągle odwracała się do nich, dodając spojrzeniem otuchy.

Izba przyjęć była pusta, więc opatrzone ich od razu. Signor Francchi musiał być kimś ważnym, gdyż wszyscy skwapliwie wykonywali jego polecenia.

Najpierw zajęto się Florrie. Wprawne ręce lekarza nie znalazły żadnych złamań, posmarował tylko zadrapania i siniaki płynem dziwnego koloru, zgadła, że to jodyna. Dał jej też lekarstwo, po którym zniknęły zawroty głowy i drzenie rąk.

Państwo Francchi czekali na nią. Poinformowali, że Robert jest w drugim gabinecie zabiegowym. Przez ten czas zdążyli powiadomić policję, która kazała im, wszystkim poczekać, w celu złożenia zeznań. Signor spojrział na Florrie ze współczuciem i próbował wyjaśnić zawilości włoskiego postępowania policyjnego.

W końcu dołączył do nich Robert. Uśmiechnął się z trudem. Podziękował Włochom za okazaną pomoc.

— Co powiedział lekarz? — zapytał Florrie.

— Och, właściwie nic. Trochę zadrapań. A co z twoją głową?

— Kilka szwów. Żadnych złamań.

Usiadł naprzeciwko i zobaczyła opatrunek na czole.

— Ale boli mnie głowa... — lekko uderzył pięścią w krzesło. — Florrie, tak mi przykro. Jeśliby coś ci się stało...

— Przecież to nie twoja wina — zapewniła. — To mogło się przydarzyć każdemu. Wadliwa instalacja czy coś innego. Zresztą to nie twój samochód, prawda?

Słuchając jej słów Robert rozluźnił się i uśmiechnął kwaśno.

— Może masz rację. To nie moja wina. Wynająłem ten samochód na parę tygodni.

— Jak myślisz, to chyba było spięcie? Nie spojrział na nią.

— Tak, chyba coś w tym rodzaju.

Za chwilę przyjechał sierżant Angelo. Był to niski, krępy mężczyzna o zmęczonej twarzy, jakby wyciągnięto go przed chwilą prosto z łóżka. Jego głównym zadaniem było wykazanie się w oczach pana Francchi jak największą sprawnością. Większość pytań, starannie sformułowanych, kierował wprost do niego.

Po krótkim przesłuchaniu głośno zamknął notes.

— Dziękuję państwu. Skontaktuję się z panem, signor Howard. Trzeba będzie spisać protokół. Nie możemy pozwolić, aby te cholerne firmy wynajmowały takie podłe samochody naszym gościom.

To ostatnie zdanie skierowane było raczej do Francchiego, który wyglądał na mocno zirytowanego.

— Czy możemy już odejść? — zapytała Florrie.

— Oczywiście, signorina. Mam nadzieję, że nie będzie pani miała żadnych dolegliwości po tym okropnym wypadku.

Państwo Francchi odjechali, żegnani gorącymi podziękowaniami Roberta i Florrie.

Wsiedli do taksówki. Jechali w ciszy. Robert był pogrążony w zadumie. Florrie domyślała się, że musi mocno cierpieć. Pragnęła, by ją przytulił, ukoił strach, powiedział coś miłego, ale rozumiała, że jest jeszcze w szoku i musi odpocząć.

— Czy będziesz mogła sama wrócić do domu? — zapytał w końcu. — A może lepiej zostaniesz na noc u Weroniki?

Nie miała zamiaru wpadać do dziewczyn w środku nocy, wrywać je z łóżek i tłumaczyć, co się stało.

Znowu zapadła cisza. Nie chciała go nagabywać, ale męczyło ją jedno pytanie.

— Robert, mówiłeś coś zaraz po wybuchu...

— Co? Nic nie pamiętam.

— Zaciskałeś pięści, słyszałam coś takiego — „Nie dostaniesz mnie, wpierw będziesz w piekle”. Co to miało znaczyć?

Nie mogła dostrzec wyrazu jego twarzy.

— Tak? Szok wyprawia z ludźmi dziwne rzeczy...

— Ale to brzmiało, jakbyś mówił do kogoś konkretnego — naciskała Florrie.

— Może miałem na myśli mechanika, który ostatnio przeglądał mój samochód, a raczej go nie przeglądał.

— To brzmiało bardziej osobiście.

— Och, Florrie. Zapomnij o tym.

Taksówka zatrzymała się przed hotelikiem, gdzie mieszkał.

— Florrie, uważaj na siebie...

Wysiadł. Nie podał jej nawet ręki. Poczula łzy pod powiekami. Sprawiał wrażenie, jakby nie mógł się doczekać chwili, w której zostanie nareszcie sam. Westchnęła. Wieczór zapowiadał się tak pięknie. To jej przeklęty pech przemienił wszystko w koszmar.

Przez resztę drogi drzemała. Wydawało się, że taksówka podskakuje na każdej możliwej nierówności. Znalazszy się w domu, powoli weszła na górę do sypialni. Nie mogła już o niczym myśleć. Chciała tylko zapaść w kojący sen.

Spała ciężko. Męczyły ją koszmary — Robert, wylatujący w powietrze samochód, twarz doktora pochylająca się nad nią. Obudziły ją promienie słońca; wpadające przez szpary w żaluzjach. Czuła tępy ból głowy.

Napełniała czajnik wodą na herbatę, gdy zadzwonił telefon. Podbiegła odebrać, w nadziei, że to Robert. I Próbowała ukryć rozczarowanie, gdy rozpoznała głos Weroniki.

— Florrie, słyszałam, co się stało. Czy wszystko w [porządku? |

— Czuję się jak połamana, ale dochodzę powoli do • siebie.

— Robert powiedział, że dziś rano masz wolne.

— Widziałas go? Co u niego?

— Ma podkrążone oczy, jakby nie spał. Mówi, że boli go głowa, ale wyglądał dobrze. Wiesz co, przyjadę w porze obiadowej, przywiozę coś do jedzenia i zawiozę cię na próbę, dobrze?

Florrie wzruszyła się troską przyjaciółki.

— Byłoby świetnie. Do zobaczenia. Weronika przywiozła steki, sałatkę, wino i świeżutki chleb. Nalegała, aby Florrie siedziała w jadalni i pozwoliła jej wszystko przygotować. Krzątała się po kuchni i po chwili wniosła tacę. Nie mogła powstrzymać śmiechu.

— Co cie tak rozbawiło? — zapytała Florrie.

— Przepraszam, ale w tych ciemnych okularach i z siniakiem na policzku wyglądasz jak terrorystka.

— Dzięki! Właśnie tak się czuję po tych przesłuchaniach.

Krótko opowiedziała o wczorajszym zajściu.

— A jak wam szło beze mnie? Była próba?

— Nie. Ale kostiumy wyszły wspaniale. O, mam i inne wiadomości.

Ostrożnie spojrzała na Florrie, jakby badała, czy może jej to przekazać.

— O co chodzi?—spytała Florrie, poprawiając sweter.

— Sue skręciła nogę w kostce. Leży teraz w łóżku. Noga napuchła jak bania.

— O, nie! Jak to się stało?

— Schodziła wczoraj po schodach. Szłyśmy wieczorem na pizzę do Mario, miała buty na wysokich obcasach. Obsunęła się ze stopnia.

— Czy stało jej się coś jeszcze?

— Nie, ale jest jej przykro i czuje się winna.

— Wiem, jak to jest — powiedziała ze współczuciem. — Czy są szanse, że wyzdrowieje do następnego tygodnia?

Weronika wzruszyła ramionami.

— Lekarz mówi, że trzeba czekać.

Przez moment zrobiło się cicho. Florrie odezwała się:

— Wszystko szło tak dobrze. To tak jakby... — zamilkła, ale Weronika wiedziała, jaki miał być dalszy ciąg.

— TAK, chyba Sally miała rację z tym Jonaszem. Co jeszcze się nam przytrafi?

— Nie wiem, wszyscy trzymamy kciuki. Obwieszę się czosnkiem, jeśli będzie trzeba.

Weronika wypila trochę wina, potem zapytała:

— Jak tam kolacja z Robertem? Czy mówił coś interesującego?

— Podobały mu się kostiumy. Nie dowiedziałam się jednak niczego o przyczynach jego przyjazdu tutaj i planach na przyszłość.

— Hm, i to wszystko? Nudnawo.

— Ależ nie, było cu... bardzo miło!

Weronika roześmiała się.

— Lubisz Roberta, prawda?

— Tak. Nie jesteśmy jednak dla siebie stworzeni. Kto wie, ile kobiet czeka na niego w Anglii. Ale zanim zaczniesz mnie przesłuchiwać, to ja cię trochę popytam o Briana!

Florrie wolała posłuchać o czyimś szczęściu niż rozmyślać o własnych rozterkach.

— Och — wykrzyknęła Luisa — wygląda paskudnie.

— Zespół stłoczył się wokół Florrie, oglądając jej siniaki.

— Są może gdzieś jeszcze? — zaszotał Dan.

— Ale to zadrapanie na łokciu goi się nieźle — powiedziała Maria odrywając się od oględzin.

Zgromadzili się wszyscy w altanie, gotowi do próby. Brakowało tylko Roberta. Był już mocno spóźniony. Florrie opowiadała szczegółowo o wypadku.

— Może zaczniemy bez niego? — zaproponował Brian, spoglądając na zegarek. — Już prawie szósta. Jak się czujesz, Florrie?

— Dobry pomysł — zgodziła się. Byli już w połowie całego układu, kiedy wszedł

Robert. Florrie jak zwykle zmieszała się. Musiała użyć całej swojej woli i poczucia dyscypliny, by nie rzucić mu się w ramiona. Był blady, czoło zasłaniał mu bandaż, na który

opadały w nieładzie włosy. Policzki i broda pokryte były ciemnym zarostem, co dodawało mu powagi.

Starła się uchwycić jego spojrzenie, ale usiadł z boku i obserwował. Wznowiono próbę. Obecność reżysera wywołała u wszystkich lekkie napięcie.

Florrie wspomniała chwilę, w której po raz pierwszy zobaczyła go w altanie. Było to zaledwie kilka tygodni temu... Rozmyślała, a jej ciało niemal bezwiednie wykonywało wyuczony ruchy. Pochylała się, mijała z Marią, prostowała i powoli cofała, by znowu stanąć na przodzie i prowadzić do następnej figury. Czy można tak całkowicie i bez pamięci zakochać się w tak krótkim czasie?

To już nie było szczenięce zauroczenie, jakiego doświadczyła przedtem, ale namiętne, porywające uczucie. Każdy uśmiech, każde niewinne dotknięcie, każda rozmowa zapadły jej głęboko w serce.

Kiedy tańczyła, robiła to dla niego, wyrażała tańcem całą swą miłość. Gdy muzyka ucichła, musiała stać przez chwilę z zamkniętymi oczyma, żeby wyrwać się z transu.

Robert podszedł do sceny.

— Nieźle — skomentował. — Idzie wam całkiem dobrze. Tylko ty, Florrie, poruszasz się w ostatniej części z trochę nadmierną ekspresją.

Przyglądał się jej, a było to uważne spojrzenie nauczyciela.

— No dobrze, przerobimy to jeszcze raz, a ja popatrzę. Będzie to taka mała próba generalna.

Florrie zacisnęła zęby, gorycz wypełniła jej serce. Traktował ją, jakby... jakby była jednym z tych bezrękich posągów w niszach. Czy to ten sam Robert, który wczoraj trzymał ją w ramionach, całował nad sadzawką i dziękował? Dzisiaj był całkiem obcy. Złośliwie pomyślała, że to pewnie jeszcze skutek tego uderzenia w głowę. Była smutna i urażona.

Melodia dobiegła końca. Florrie powoli spłynęła na podłogę z pochyloną głową w końcowej pozycji. Wiedziała już, iż to tylko zbyt bujna wyobraźnia podsuwała jej myśl, że Robert ją wyróżnia. Była dla niego po prostu „miłym dzieciakiem”. Ale dla Florrie Robert był wszystkim.

Powlokła się ku przebieralni. Jeśli Robert chciałby z nią porozmawiać, miałby tyle okazji...

Czekała na wolny przejazd na skrzyżowaniu, gdy usłyszała klakson. Na poboczu stało białe auto Luki Campeny, który machał do niej ręką. Wsiadł. Jego twarz była poważna.

— Florence, policja znowu chce cię przesłuchać. Ja też mam ci coś do powiedzenia, coś ważnego. Czy możesz zostawić swój samochód i pojechać ze mną?

— Czy sierżant Angelo w ogóle sypia — zapytała, nieco poirytowana, ale spełniła życzenie Luki. Jego dłonie pewnie trzymały kierownicę. Zbliżał się wieczór.

— Muszę ci powiedzieć — zaczął — że śledztwo wykazało coś osobliwego. No, może nie we Włoszech. Otóż przyczyną wybuchu była bomba domowej roboty.

Florrie zamarła.

— Czy... czy Robert o tym wie? — zapytała po chwili ciszy.

— Sądzę, że rozmawiali z nim dziś po południu.

— A tak, rozumiem — powiedziała cicho.

— A czy coś mówił?

— Ani słowa.

Dlaczego Robert nic jej nie wspomniał?

— Boże, co to wszystko znaczy?

— Możliwe, że któreś z was ma wroga albo wrogów. Czy ktoś z jakiejś przyczyny mógłby chcieć twojej śmierci?

Florrie była zdumiona.

— Nie, to nedorzeczne — powiedziała pewnym głosem. — Jeśli chodzi o Roberta, chyba też nie. To szalony pomysł. Moim zdaniem musieli pomylić samochody. O ile to w ogóle wszystko prawda.

— Zastanów się dobrze. Żadnego zazdrosnego kochanka, żadnej wendetty — jesteś całkiem tego pewna? — Do czego zmierzasz, Luka? Powiedziałam ci prawdę. A może mi nie wierzysz?

Luka westchnął.

— Akty przemocy są we Włoszech rzeczą powszechną. Zwykle są to sprawy polityczne albo mafia...

Musiał przerwać, bo parsknęła gwałtownym, histerycznym śmiechem.

— Mafia! Nie mogę uwierzyć!

— Proszę, Florrie — powiedział ostro, przywołując ją do porządku.

— To poważne sprawy. Staram się jak mogę, żeby wam pomóc. Nie sądzę, żeby policja była zadowolona z tego, że cię uprzedziłem.

— Przepraszam, Luka. Po prostu świat zwariował od wczoraj.

— Rozumiem. Przeżywasz szok, oczywiście. Zostaje jeszcze sprawa tej pracy, którą ci zaproponowałem. Musisz to dobrze przemyśleć.

— Masz na myśli moją ewentualną ciemną przeszłość. Mogę cię zapewnić, że moje referencje są bez zarzutu. Nie znajdziesz śladu sensacji.

„Czasem żałuję” — dodała w myśli.

— Luka nie mógł powstrzymać śmiechu.

— Zawsze dowcipna. Oczywiście, że ci wierzę. Jak można nie wierzyć komuś, kto ma takie oczy. — Rzucił znaczące spojrzenie w jej kierunku. — Proszę, nie gniewaj się na mnie. Ufałem ci, ale po rozmowie z sierżantem Angelo zrobiłem się przesadnie ostrożny. On wmówi człowiekowi wszystko.

Florrie pokiwała głową.

— Nie gniewaj się. Jesteśmy ze sobą związani i to stawia cię w niezręcznej sytuacji. Dziękuję, że powiedziałeś mi to wszystko.

Sierżant Angelo był jednak bardzo uprzejmy w stosunku do niej. Przyniósł krzesło, poprosił, żeby usiadła. Szarmancko zaproponował coś chłodnego do picia. Wydawało się, że bardziej interesują go jej wrażenia z Włoch niż powiązania z Czerwonymi Brygadami.

Pomimo wysiłków, by stworzyć miłą atmosferę, Florrie nie mogła się odprężyć w typowo biurowym pomieszczeniu. Ściany były obstawione regałami wypełnionymi stertami zakurzonych papierów, smutne rośliny wędły na parapetach. Siedziała na brzeżku krzesła, jakby oczekując najwyższego wymiaru kary. Czuła, jak zasycha jej w gardle i wilgotnieją dłonie.

Żeby w końcu zaczął ją wypytywać o wypadek!

Jak się czuje? Czy poniosła jakieś straty? Jego włoski był bardzo czysty, tak że nie miała problemów ze zrozumieniem. Chciał wiedzieć czy według niej przyczyną katastrofy mogło być coś innego niż usterka silnika i czy ona lub Robert mają jakiś wrogów, i czy kiedykolwiek coś podobnego ją spotkało. Wciąż odpowiadała „nie”. Sierżant Angelo nie robił nawet notatek.

Z ulgą wróciła do domu. Po drodze widziała się z Luką. Był zaskoczony, że poszło tak łatwo. Nie mogła się jednak rozluźnić. Podświadomie bała się, że Angelo zmieni zdanie i pojawi się nagle, ażeby przesłuchiwać ją całą noc.

Dlaczego był taki ostrożny, prawie zakłopotany? Robert musiał mu coś powiedzieć, zmusić, aby dał jej spokój. Poczwała wdzięczność, a zarazem strach, że mogłby się narazić na jakieś kłopoty, oszczędzając jej nieprzyjemności. Była taka niesprawiedliwa dla niego.

Bomba, rzeczywiście! Kto w to uwierzy? Musieli się pomylić. Chyba... chyba, że jej podejrzenia co do tajemnic Roberta miały w sobie dozę prawdopodobieństwa. Te dziwne słowa, które wykrzykiwał po wypadku, to wypieranie się ich.

Ciągle analizowała najdrobniejsze szczegóły ostatnich wydarzeń. Snuła się po mieszkaniu, dochodziła do coraz dziwniejszych wniosków, ale nie mogła tego pojąć.

Miała nadzieję, że historia nie dostanie się do prasy. Nie chciała, żeby jej rodzina dowiedziała się o tym wypadku. Lepiej będzie, jak sama im wszystko opowie. Tylko kiedy? Jeśli przyjmie propozycję Luki, to czy będzie mogła sobie pozwolić na podróż do Anglii? Wciąż nie mogła się zdecydować. Rozmowa z Robertem nie pomogła tu dużo.

Siedziała w fotelu pogrążona w myślach i dopiero po chwili dotarł do niej dźwięk telefonu. Otrząsnęła się i pobiegła szybko do hallu. Jeśli to sierżant Angelo, jest gotowa do rozmowy.

— Tak? — rzuciła zdyszana.

Dzwoniła Weronika. W jej głosie brzmiał niepokój.

— Florrie, stało się coś strasznego.

— Co znowu? Czy Robert nie... — wykrzyknęła.

— Nie, to Brian. Zachorował. Zatrucie pokarmowe. A tak się chwalił żelaznym żołądkiem. Lekarz już był u niego, ale wygląda tak blado i...

— Czy chcesz, żebym przyjechała?

— Jeśli możesz? Wiem, że to nieładnie z mojej strony. Po tym wszystkim, co przeszłaś...

— Nie ma sprawy. Zaraz będę.

Było wpół do jedenastej. Obliczyła, że będzie z powrotem przed północą.

A więc — pomyślała wyprowadzając samochód z ogrodu — ten Jonasz Sally wciąż nam przeszkadza, Weronika nie zwykła przesadzać, musi być kiepsko z Brianem. Chyba trzeba będzie wycofać się z konkursu. Nie możemy dalej ryzykować.

ROZDZIAŁ IV

Następne dni przyniosły Florrie wiele znaczących' wydarzeń. Brian rzeczywiście cierpiał na ciężkie zatrucie pokarmowe, spowodowane, według niego, za dużą ilością „frutti di mare”.

Był bardzo trudnym pacjentem, ciągle przeklinał swój los. Oszukiwał i próbował wstawać. Ale stanowcza ręka Weroniki wraz z atakami mdłości przywoływały go do porządku.

Zamiast porzucić całe przedsięwzięcie, Robert zwołał nadzwyczajne zebranie zespołu na następny poranek.

— Mamy dwie możliwości — powiedział, przyglądając się twarzom zebranych.

Niektórzy siedzieli w półkołu, inni stali oparci o scenę.

— Możemy poddać się albo próbować dalej...

Z tonu jego głosu można było wyczytać, na co jest zdecydowany. Wodził wzrokiem po ich twarzach. Nieco dłużej patrzył na Florrie.

— Poradziliśmy sobie ze skutkami choroby Sue. Wymagało to co prawda wielu zmian, ale jakoś się udało. Było też parę innych przeszkód.

Florrie pomyślała, że ona jest jedną z nich.

— Sądzę, że możemy i musimy iść dalej. Możemy dać naprawdę dobre przedstawienie, możemy nawet zwyciężyć, choć nie przyjdzie to łatwo. Trzeba będzie pracować jeszcze ciężiej. Jeśli wszyscy nie będą na sto procent zdecydowani, to nie ma sensu zaczynać.

Cisza zdawała się trwać w nieskończoność. Patrzyli po sobie bez entuzjazmu, większość już chyba dawno dała za wygraną.

Florrie czuła na sobie wzrok Marii, prośbę o decyzję w ich imieniu.

— Jeśli o mnie chodzi — zaczęła — to jestem gotowa iść dalej. Tylko zostaje problem — jak?

— Dobre pytanie — w oczach Roberta rozbłysnął entuzjazm. — Pozwoliłem sobie przerobić trochę układ. Cisza!

Podniósł rękę, by uciszyć głosy niezadowolenia.

— Jeślibym zastąpił w ważniejszych momentach Briana, to mogłoby się udać. Musicie tylko zdać sobie sprawę z tego, że nie jestem tancerzem.

— A jeśli Brian wydobrzeje? — zapytała Weronika.

— Będziesz go na bieżąco informować o zmianach. Jeśli będzie mógł, to weźmie swoją rolę z powrotem. Tylko, niestety, w nieco zmienionej wersji. I co wy na to?

Florrie westchnęła. Mimo że mieli dość męki, nie chcieli tego tak zostawić, dzięki Robertowi znowu poczuli zapach i — co najważniejsze — nadzieję. Jak on to zrobił?

Dziwne, im było trudniej, tym zależało mu na tym, by iść dalej.

Za to go kochała. Ta imponująca siła pozwoliła mu wspiąć się tak wysoko i zdobyć sławę.

Nikt już nie czekał na jej zdanie. Jeden za drugim wyrażali swoje opinie. Bedą kontynuować.

Florrie czekało ciężkie zadanie. W pierwotnej wersji Brian i ona wykonywali pewne partie w duecie. Okrążali się nie dotykając, a następnie zbliżali się do siebie. Jego hipnotyzujące spojrzenie w końcu wygrywało i poddawała się jego woli. Mógł poruszać nią niczym lalką. Na zakończenie całował ją.

Robert zdecydował się zatrzymać moment końcowy, który wymagał raczej siły fizycznej niż gracji tancerza. Florrie mogła łatwo przysłonić jego braki. Zbliżył się do niej, by przeciwżyć tę partię. Jego ciemnobrązowe oczy były chłodne i beznamiętne.

Florrie zaczęła tańczyć. Wmawiała sobie, że to nie on, tylko ktoś obcy. Było w tym trochę prawdy. Na scenie zawsze ją ignorował, poza sceną zresztą też. Była jedną z tancerek.

Odwróciła się tyłem, by w tańcu niewolniczo naśladować jego ruchy. Stała się kukłą, którą mógł dowolnie poruszać. Czuła oddech rozwiewający jej włosy, patrzyła, nie widząc, w pusty hall.

Robert podniósł ją z łatwością i przez chwilę trzymał w górze, a jej ręce i nogi zwisały bezwładnie. Potem opuścił powoli na ziemię udowadniając, że góruje nad jej umysłem i ciałem. Florrie obróciła się w jego ramionach. Stali twarzą w twarz. Magiczna siła przyciągała ją coraz bliżej, uwalniała na moment i znowu przyciągała.

Widziała swoje odbicie w jego źrenicach, złote plamki na tęczęwkach, ledwo podwinięte, jedwabiste rzęsy. Kiedy te silne ramiona obejmowały ją, rzeczywiście była jak kukła, on był jej panem, mógł z nią zrobić co chciał, a gdy jego usta zbliżały się do jej warg...

Florrie stała drżąc. Robert odsunął się, jak gdyby nigdy nic. Spontaniczny wybuch oklasków przerwał ciszę. Robert znacząco pokiwał głową.

— Było nieźle, Florrie — powiedział, nie patrząc na nią.

Nie mogła przez resztę próby dojść do siebie. Może naprawdę ją zahipnotyzował? Jak to możliwe, chyba-by coś poczuła? „Będziemy to powtarzać wiele razy”. Przeszedł ją dreszcz zadowolenia.

— Nigdy jeszcze nie tańczyłaś tak dobrze — wyszeptała Weronika podczas przerwy.

— Ładnie razem wyglądacie.

— Wolę tańczyć z Brianem — Florrie zrobiła unik. Taktowna Weronika wycofała się.

Te kilka minut dziennie, w czasie których obejmowały ją ramiona Roberta i całowały jego usta, były najpiękniejszymi i najważniejszymi chwilami dnia. Poza tym Robert jakby specjalnie trzymał się z dala od niej. Tęskniła za nim, mimo że widywali się co dzień.

Doszła do wniosku, że Robert musi żałować tej kolacji we dwoje. Wyczuł zbyt silną sympatię z jej strony, a nie chciał urazić dziewczęcych uczuć. Łagodne zerwanie miało być najlepszym wyjściem.

Nikt już nie pamiętał, kto pierwszy wpadł na pomysł, by urządzić przyjęcie. Wyszło to jakby samo z siebie. Uznali, że lepiej świętować przed konkursem, bo potem, być może, nie będzie z czego się cieszyć.

— Jeśli nam pójdzie bardzo źle, to takie przyjęcie byłoby katastrofą — rozważała Sue, ćwicząc nogę w nadziei, że będzie mogła wystąpić.

— Och — wykrzykiwała Maria. — Wyobraźcie sobie ten milczący krąg upijający się do nieprzytomności.

— No i część z nas od razu wyjeżdża — zauważyła Neil. — Wiem, że Don ma zamiar wyjechać rzymskim ekspresem w niedzielę rano.

Finał konkursu miał się odbyć późnym popołudniem.

— A ja odlatuję w poniedziałek.

Nikt nie odpowiedział. Zrobiło się smutno. Zbliżała się chwila, której obawiali się ód dłuższego czasu — koniec wspólnych wakacji. Pożegnania, obietnice, wymiana adresów...

Kto wie, co ich czeka, czy im się powie? Stali się sobie bardzo bliscy. Zbliżyły ich wspólne problemy, radości, przyjaźnie.

Florrie wiedziała, co przeżywają. Pamiętała rozdzierające sceny po pożegnalnym przyjęciu, gdy skończyli wystawiać spektakl „Hot Shoes”. Było to tylko kilka miesięcy temu, a wydawało się, że minęły lata.

Ze ściśniętym gardłem rozejrzała się dookoła. Tak, zatęskni, zatęskni nawet za niezbyt sympatyczną Marią.

— Dobrze, zróbmy przyjęcie! — zawołała z entuzjazmem, kryjącym poprzednie zmieszanie.

Luisa zdradzała niebywałe talenty organizacyjne. Każdy rzucił się z zapalem w wir przygotowań i pod jej kierownictwem szybko ustalono szczegóły i podzielono obowiązki.

Tego wieczoru pokój Weroniki, udekorowany bukietami kwiatów, balonami i szarfami, szybko się wypełnił. Łóżka przesunięto pod ścianę, było dużo miejsca do tańca. Muzyka płynęła z magnetofonu a jedzenie przyniesiono z baru Maria, który znajdował się na parterze. Mario narzucał się ze swoją pomocą, wprosił się też na przyjęcie. Luka także obiecał wpaść na godzinę.

Ulice Montefiore były odświętnie udekorowane. Festiwal sztuki zbiegł się z dniem lokalnego święta.

Florrie przyniosła kilka dużych butelek wina z pobliskiej wsi, uzupełniając dziwaczny zestaw trunków. Założyła swoją najlepszą suknię — z błękitnego jedwabiu, przylegającą do ciała, z dużym dekoltem na plecach. Niebieski kolor podkreślał jej oczy. Włosy, których miedziany odcień pogłębiała trochę henna, miała rozpuszczone. Kiedy weszła, koledzy nie mogli oderwać od niej oczu i prześcigali się w komplementach.

Miała nadzieję, że wygląda na swobodniejszą, niż jest naprawdę. Wmówiła sobie, że to jej ostatnia szansa. Jedyna okazja, powtarzała sobie zdenerwowana, obawiając się tego, że duma nie pozwoli jej zapytać Roberta, dlaczego tak łatwo ją porzucił.

Nalała sobie czegoś mocniejszego i dołączyła do innych.

— Hej — Weronika podniosła kieliszek. — Zobacz, kogo tu mamy! Wskazała na Briana, siedzącego obok niej na kanapie.

— Czuję się coraz lepiej. Nie wykończył mnie żaden z tutejszych konowałów! — odpowiedział na wesołe, zdziwione spojrzenie Florrie.

Był jednak bardzo blady.

Właśnie rozmawialiśmy o naszej przyszłości — wyjaśniła Maria. — Sally i ja zostajemy jeszcze rok we Włoszech. Zapisaliśmy się na ten kurs w Mediolanie, o którym opowiadałyśmy. Nie jesteśmy pewne, czy chcemy tańczyć zawodowo, a tak będziemy miały okazję jeszcze czegoś oię nauczyć. Sally pokiwała głową, przytakując.

— Seb i ja wracamy z powrotem do szkoły, do Londynu. Złożyliśmy już podania. Teraz czekamy tylko na daty przesłuchań — opowiadała Neil.

— A co z tobą, Sue? — zapytała Florrie. Wysoka Sue ubrana była w przylegający do ciała czarny kombinezon. Stojąc obok małej Luisy wyglądała na jeszcze wyższą, niż była.

— Hm, chyba pójdę na uniwersytet. To nie dlatego, że nie mam w sobie dość sił i wytrwałości, ale nie sądzę, abym mogła osiągnąć coś więcej. Rozmawiałam z Robertem, polecił mi choreografię.

— Wygląda na to, że wszyscy wiele skorzystali — zauważyła cicho Weronika. — Brian i ja spróbujemy szczęścia w Londynie. Może znajdzie się dla nas miejsce w Teatrze Tańca Współczesnego.

— A ty, Florrie? — dopytywał się Brian.

— Hm... — Co zamierzała robić? Było jasne, że musi najpierw zorientować się w planach Roberta. Nie potrafi sama zdecydować.

— Czekaj, czekaj, przecież Don i Mark jeszcze nic nie mówili. I Luisa siedzi cicho.

Don i Mark pokręcili głowami.

— O, nie wykręcisz się nam tak łatwo, panno Johnson!

— Nie wiem... — zaczęła powoli, z namysłem, ale głęboki głos z boku przerwał jej.

— Mają rację, powinnaś nam zdradzić. Robert wszedł niepostrzeżenie i stał obok niej z kieliszkiem w dłoni.

— Więc — zaczęła po raz trzeci i kontynuowała pewnym głosem, tak jakby zaplanowała wszystko już dawno — wracam do Londynu.

— Nie zostaniesz we Włoszech? Pogratulowała sobie, że w końcu wzbudziła w nim jakieś zainteresowanie.

— Nie — odpowiedziała. — Chyba mam dość Włoch.

— Będę tęsknić, szczególnie w zimowe wieczory — westchnęła Sue.

— Zawsze możecie do nas przyjechać, każde z was — oczy Sally zabłyśły. Robert uśmiechnął się i wznosił toast.

— Za nas wszystkich. Mnóstwo sukcesów, powodzenia i szczęścia w przyszłości. We wszystkim, co zamierzacie.

— Och, tylko bez przemówień — Don skrzywił się, ale posłusznie wychylił kieliszek.

— A co z tobą? — Brian zagadnął Roberta. — Co masz na oku? Robert rozejrzał się. Wszyscy z zaciekawieniem czekali na zwierzenia.

— Jest parę możliwości — powiedział niechętnie — ale nic konkretnego.

— O nie, nie możesz nas tak zawieść! Wzruszył ramionami.

— Chcecie znać prawdę?

— Całą i bez ogródek.

— Więc nie wiem. Pustka.

Twarze zebranych wyrażały rozczarowanie i niedowierzanie. Florrie nagle zdała sobie sprawę z tego, że mimo jej obaw Robert zdobył sobie szacunek i podziw zespołu.

— Ale chyba nie na długo — powiedział Brian. — To nie w twoim stylu.

— Będą stać w kolejce na lotnisku, jeszcze zanim wylądujesz — zażartował Mark. Robert zastanowił się i przytaknął.

— Niestety, chyba masz rację. Wszyscy zaczęli się śmiać.

Dotychczasowe ciche dźwięki zastąpiła ostra muzyka. Odwrócili się, Luisa stała koło magnetofonu śmiejąc się wyzywająco.

— Myślałam, że idę na przyjęcie — krzyknęła. — Chcę tańczyć! Kto mnie poprosi?

Robert przeszedł przez pokój, inni poszli w jego ślady.

Kilka godzin później schludny pokój Weroniki zmienił się nie do poznania. Talerze z resztkami jedzenia, pogniecione serwetki, noże i widelce leżały w najdziwniejszych miejscach. Do towarzystwa dobił Luka i inni studenci, przyciągnięci przez muzykę i hałas. Przyszedł też Mario z żoną.

Podłoga ugiwała się pod ich stopami, radosny śmiech płynął przez otwarte okno w ciepłą, gwiazdzistą noc.

Przez cały wieczór Florrie nie udało się dotrzeć do Roberta ani zamienić z nim choćby kilku słów. Był niemal rozrywany.

„To chyba dziewczyna powinna być królową balu” — pomyślała rozżalona.

Luka przybył dość późno. Florrie wykorzystała okazję, żeby porozmawiać z nim poważnie.

Przeprosiła, że nie może skorzystać z jego oferty, gdyż, jak wyjaśniła, karierę może zrobić tylko w Anglii. Był rozczarowany, ale nie zaskoczony. Ucałował jej dłoń, zapewnił, że zawsze będzie mile widzianym gościem w jego domu. Liczył po cichu na to, że Florrie zastanowi się i zmieni zdanie. Przecież jego Centrum Sztuki musiało odnieść wielki sukces.

Wciąż trzymał jej dłoń, kiedy mimowolnie spojrzała w górę. Koło drzwi stał Robert, z ręką na klamce. Gdy ich oczy spotkały się, lekko skinął głową i wyszedł. Nie spotkała go już tego wieczoru.

Następnego dnia miała się odbyć ostatnia próba. Florrie spędziła noc z innymi, niewygodnie skulona na materacu.

Czekając na Roberta rozgrzewali się, każdy według własnej metody. W powietrzu wisiało coś dziwnego. Dziś miał być wielki dzień, chcieli włożyć całe serca w ten występ. Strach ścisnął im żołądki. Florrie wiedziała, że nie tylko ona ma drżące, zimne ręce i miękkie kolana.

W spokoju przećwiczyła obowiązkowe ruchy. Wszyscy pracowali w ciszy, przerywanej stękaniami z wysiłku i przyspieszonymi oddechami. Słońce wpadało przez górne okienka, kurz tańczył w powietrzu.

— Gdzie jest Robert? — pytanie Marka przerwało ciszę. Florrie również się niepokoiła. Zatrzymała się i rozejrzała.

— Nie mam pojęcia — odpowiedziała. Spojrzała na zegarek.

— Jest bardzo późno. Czy ktoś wie coś na ten temat? Nikt nie odpowiedział.

— Może zaczniemy? — zaproponowała Sue. Uznała, że jej kostka jest już w dobrym stanie i mimo protestów lekarza brała udział w próbie z owiniętą bandażem nogą.

— Chyba trzeba będzie — powiedziała Weronika.

— Zresztą i tak nie jest potrzebny w pierwszej części. Włączyli muzykę i zajęli pozycje. Tańczyli bezwiednie. Dzięki licznym próbom ich ciała wykonywały odpowiednie ruchy niemal automatycznie. Pierwsza część właśnie dobiegała końca, kiedy otworzyły się drzwi. Nie stanął w nich Robert, tylko Brian.

— O co chodzi? — krzyknęła Maria. — Gdzie Robert?

Brian zbliżył się do sceny.

— Nie mam pojęcia. Myślałem, że tutaj. Dostałem od niego kartkę, poprosił mnie, żebym tu zajęchał i sprawdził, czy będę w stanie go zastąpić.

— Kartka od Roberta? — dopytywała się Florrie.

— Na to wygląda.

Podał ją i Florrie przeczytała na głos: „Drogi Brianie. Może mnie coś zatrzymać, więc proszę cię, jeśli możesz, spróbuj zatańczyć. Przepraszam za moją nieobecność, Robert”.

Serce zamarło jej na moment.

— Chyba nie... chyba nie jest w jakimś niebezpieczeństwie?

— Nie sądzę. O tym to byśmy usłyszeli już dawno

— Weronika próbowała ją uspokoić.

— Najlepiej zacznijmy od nowa — przerwała niecierpliwie Neil. Jeśli Brian ma zająć miejsce Roberta, musimy przećwiczyć to co najmniej kilka razy. Ciekawe, czy nam się uda.

— Ale nas zawiódł. Tak na ostatnią minutę — narzekała Maria. Nie mamy chyba żadnych szans.

— Nie sądzę, żeby... — zaczęła Luisa, ale Florrie, patrząc surowo, przerwała jej.

— Zaczniemy od początku i będziemy ćwiczyć aż do skutku. A potem wystąpimy i już!

Maria, Sally i Seb nie chciały oglądać występów pozostałych zespołów. Było to dla nich zbyt stresujące, ukryły się w wielkiej przebieralni pod sceną. Florrie i inni siedzieli w pierwszym rzędzie.

Wystąpiło osiem zespołów: siedem włoskich i jeden amerykański, i niektóre z nich reprezentowały wysoki poziom. Choreografia była ogólnie niezła, kompozycje interesujące, chociaż dwa z włoskich zespołów były chyba zbyt ambitne i nie miały jasnych założeń. Powstał z tego kompletny bałagan.

„Przede wszystkim czystość i prostota” — nasunęły się jej słowa Roberta.

Podczas przerw wybuchały gwałtowne dyskusje. Uroczystość miała miejsce w małym teatrze zbudowanym w stylu włoskiej opery, który cudem przetrwał wojenną pożogę. Publiczność była bardzo nierówna. Niektórych nużyły długie występy, inni podziwiali i t oklaskiwali. Było to świetne preludium do Centrum Sztuki.

Weronika szturchnęła Florrie i wskazała Lukę i jego rodzinę zasiadających na widowni. Widziała się z nim, przyszedł z kwiatami do garderoby i życzył im połamania nóg. Gdzieś musiał wyczytać, że nie wolno życzyć tancerzom szczęścia przed występem.

Mimo że wyteęzała wzrok, Florrie nie mogła dostrzec Roberta. Gdzie mógł być?

Zespół o niczym innym nie mówił. Całe nerwowe napięcie zrzucili na niego. Mieli do niego żal, że doprowadził ich tak daleko i wycofał się w ostatniej chwili, wtedy kiedy najbardziej go potrzebowali.

Florrie była podwójnie zła i rozczarowana. Jej zdenerwowanie walczyło z niepokojem. Nie mogła myśleć o tych wszystkich okropnościach, które mogły go spotkać.

Luka także nic nie wiedział. Wydawał się być tak samo zaskoczony jak wszyscy. Całe szczęście, że Brian był na tyle w formie, aby wziąć udział w spektaklu. Neil żartowała, że w ich zespole połowa to inwalidzi. Nagle padło hasło „Na scenę!”.

Sami nie zauważyli kiedy było już po wszystkim. Występ trwał kilka mi nut. Stali szczęśliwi i wyczerpani pośród owacji, kłaniali się i wymieniali radosne uściski.

Potem był jeszcze pełen napięcia kwadrans, w czasie którego sędziowie naradzali się. Wlokło się to w nieskończoność.

— Jak mi poszło? — domagała się opinii Luisa. — Myślałam, że zasłabnę — znowu ta kostka — wiesz, w tym momencie, kiedy...

— Omal cię nie upuściłem, Florrie. Zauważyłaś? — Brian, wciąż blady, triumfował...

— Było cudownie — cieszyła się Sally z trudem łapiąc oddech.

— Nadepnęłam ci na stopę — przepraszała Florrie. — Dziwne, że nie krzyknąłeś.

Wszyscy mówili naraz, udając że nie interesuje ich wynik. Wymieniali uwagi o swoim występie, łudzili się, że sędziowie nie zauważyli drobnych pomyłek.

W końcu konferansjer wspiął się na scenę, flegmatycznie uporządkował swoje notatki i zaczął mówić.

— Och, nie. Wszystko po włosku — westchnęła Seb. — Nie rozumiem, za szybko.

— Luka będzie musiał potem nam przetłumaczyć. — Neil przerwała. Sędzia zaczął łamaną angielszczyznę.

— Zwycięzcy są z Anglii...

Jego głos utonął w powodzi wrzasków Florrie i jej przyjaciół. Nawet Weronika nie mogła się powstrzymać od radosnych podskoków. Obejmowali się, dziewczyny płakały, widownia klaskała i cieszyła się z nimi. Było to zasłużone i uznane przez wszystkich zwycięstwo.

Następne miejsce zajęła jedna z włoskich grup, a potem Amerykanie. Każdy zgadzał się z decyzją sędziów.

— Jedno mnie zastanawia — zauważyła na boku Weronika.

Czekali właśnie na ceremonię udekorowania zwycięzców, organizowaną z wielką pompą. Miała być nawet brązowa tablica z ich imionami, wmurowana w ścianę teatru.

— O co chodzi?

— Hm. Cały czas bałam się, że coś nam przeszkodzi. Jeśli ci Włosi tak mocno chcieli nas powstrzymać, że aż zdemolowali nam jedną scenę, pomazali twoją szopę i wreszcie podłożyli bombę, dlaczego nie próbowali swoich sztuczek dzisiaj? Florrie spojrzała na nią zaskoczona.

— Tak, masz rację. Tyle się dzisiaj działo, że nie miałam czasu o tym po myśleć. Ale to dziwne, bardzo dziwne...

Ostrożnie odwróciła głowę, ale nie napotkała żadnego wrogiego spojrzenia. Wszyscy rozmawiali, wyglądali na radośnie podnieconych, nawet ci pokonani.

— To byli jacyś „pomocnicy”, a nie tancerze, chyba tak mówił Luka, prawda?

— Tak. Cudem zaszliśmy tak daleko. Może ten Jonasz odszedł? Pewnie Robert zabrał go ze sobą.

Uśmiechnęła się. To miał być żart, ale nikt się nie roześmiał. — Jonasza już z nami nie ma. Czuję to — powiedziała Sally, patrząc dookoła błędnym wzrokiem. — Tak. Na pewno odszedł.

Nie było więcej czasu na rozmowę. Poproszono ich na scenę, by wręczyć medale.

Florrie wiedziała już, jak to wygląda. Najpierw kieliszek wina pośród radosnych rozmów i komplementów. Nikt nie mógł usiedzieć na miejscu, gadali jeden przez drugiego. Nie interesowały ich dalsze występy, poszli więc do Maria na „ostatnią kolację”. Potem podniecenie opadło, emocje ucichły. Godzina triumfu minęła. Pozostały jedynie pożegnania.

Florrie zamówiła tylko sałatkę, nie dała się skusić na wykwintne desery. Chciała uciec, zanim wszyscy posmutnieją.

— Jestem do niczego. Wybaczcie, że was opuszczam, ale jeśli nie pojedę teraz, to potem na pewno zasnę za kierownicą. Będziecie mieli mnie na sumieniu.

Podniosły się ciche protesty. Na odchodnym Brian powiedział:

— Jeśli kiedyś natkniesz się na Roberta Howarda, to podziękuj mu od nas. To zwycięstwo w takim

samym stopniu zawdzięczamy jemu, jak i naszym talentom.

Obiecawszy spełnić tę prośbę, Florrie odeszła. Choć zapadł już zmierzch, ulice były zatłoczone. Ludzie spacerowali tam i z powrotem.

Florrie jeszcze raz spojrzała w okno restauracji, pomachała ręką i ruszyła do samochodu.

W domu było ciemno. Zapaliwszy światło w hallu weszła do kuchni, nalała sobie szklanekę soku i usiadła na werandzie. Szmer rozmów, muzyki, śmiechów i oklasków powoli zastępowały dające błogi spokój odgłosy nocy — senne cykady, szelest liści drzew oliwkowych, pohukiwanie nocnych ptaków. Niebo było wyjątkowo czyste, Mleczną Drogę odszukała bez trudu.

Florrie ocknęła się. Musiała drzemać przez dłuższą chwilę, bolała ją zeszywniała szyja. Podniosła się i ruszyła na obchód swojej tymczasowej posiadłości. Pozamykała drzwi i okiennice, sprawdziła czy wszystko jest w porządku.

Jutro trzeba będzie coś postanowić... Zauważyła białą kopertę leżącą na podłodze koło frontowych drzwi. Schyliła się. Był to telegram. Zresztą nic innego nie zmusiło by listonosza do takiej wyprawy. Szybko rozdarła kopertę, nie dając sobie czasu na domysły.

Zwykle telegramy miały dla Florrie dwa znaczenia— złe wiadomości lub gratulacje. Co do tego drugiego — mało kto wiedział o nagrodzie, a więc... Patrzyła na pismo nie rozumiejąc.

— „Przepraszam nie mogłem tego powstrzymać stop wszystko w porządku stop jesteś jedna na milion stop kocham Robert”. Telegram został wysłany z Rzymu tego samego dnia. Zgniotła

go i bezwiednie przycisnęła papier do policzka, tak jakby chciała wchłonąć w siebie tę wiadomość.

Co on sobie myśli, czy w ogóle zdawał sobie sprawę z tego co takie słowa mogły dla niej znaczyć? To , jesteś jedna na milion na przykład? Po co? Nagle takie odruchy sympatii... Albo „kocham” — czy to miało być wyznanie, czy tylko forma pozdrowienia?

Jedno zasługiwało na uznanie. Raczył ją zawiadomić, że jest bezpieczny i nic mu nie grozi.

Skrzywiła się. Rozmyślając, powoli wchodziła po schodach. Nic nie idzie tak jak trzeba, odkąd Robert Howard znowu wkroczył w jej życie. Nawet teraz, kiedy odszedł, pozostawił za sobą rozterki. Czowała nadchodzącą pustkę.

ROZDZIAŁ V

— Po południu chyba się przejaśni — powiedziała matka Florrie. Obserwowała swoją starszą córkę, która stała oparta o parapet i w milczeniu wpatrywała się w złany strugami angielskiego deszczu ogród. Florrie brakowało, jak sądziła, włoskiego słońca.

— Co? ...A tak, też tak myślę. Zresztą i tak się nigdzie nie wybieram.

Florrie chodziła po pokoju tam i z powrotem, obserwując deszczowy pejzaż. Trawa była intensywnie zielona, przed domem ojciec zadbał o ukwiecony klomb. Z zamiłowania był ogrodnikiem. Uwielbiał swoją małą szklarnię, gdzie mógł godzinami grzebać w ziemi. Nawet teraz oddawał się tajemniczemu misterium pikowania jesiennych kwiatów. Brat Florrie gdzieś biegał.

Rodzina Johnsonów odbywała zwykły niedzielny obrządek, każdy na swój sposób. W piekarniku stało już mięso na tradycyjną niedzielną pieczeń.

— Żadnych planów na dzisiaj? — ciągnęła matka.

— Nie wiem — Florrie odpowiedziała wymijająco. Rodzice ucieszyli się na wiadomość, że po powrocie z Włoch pomieszka z nimi jakiś czas. Byli zachwyceni jej opalenizną i zdrowiem, które korzystnie kontrastowało z bledością i zmęczeniem, jakie gnębiły ją wiosną. Z uwagą słuchali barwnych opowieści.

Przez pierwsze parę dni usta się jej nie zamykały, serwowała im też „autentyczne włoskie potrawy.” Smakowały jej nieszczególnie, natomiast rodzina zachwalała. Ostatnio była jednak coraz bardziej zamknięta i cicha.

— To nie pogoda, mamó — odezwała się Debbie, młodsza siostra Florrie.

Leżała rozciągnięta na podłodze i przeglądała kolorowy magazyn.

— To z pewnością jakiś Marco albo Franco. Jaki był, Florence? Wysoki, ciemny, przystojny, z cienkim wąsem? Mi amor, mi amor! Aj! — wrzasnęła, bo Florrie celnie wymierzyła cios poduszką.

— Ale jesteś staroświecka, siostrzyczko. Nie miał imienia.

— Och, Bezimienny mężczyzna. Piękny i tajemniczy.

— Może się nudzisz, kochanie — zapytała matka ignorując żarty Debbie. — Tak tu cicho.

— Nie nudzę się. Dobrze mi tutaj. Ale i tak niedługo wrócę do Londynu. Dzwonił wczoraj mój agent. W przyszłym tygodniu są dwa przesłuchania — wzdrygnęła się. — Ale czuję się tak... to znaczy nie jestem zdecydowana na nic konkretnego.

Dziwnie to brzmiało u zwykle pewnej siebie Florrie. Matka zaniepokoiła się. Odłożyła na bok książkę.

— Debbie, kochanie, zrób nam kawę — poprosiła, rzucając znaczące spojrzenie.

To nieme porozumienie pochlebiało dziewczynie. Cicho zamknęła za sobą drzwi.

Florrie, czy coś cię męczy? Nie jesteś taka jak zawsze. Coś cię martwi, prawda? Ale przecież twoje listy były takie pogodne.

„Tak, mam. Podarto moje kostiumy, wymazali mi farbą szopę, omal nie rozerwała mnie bomba. I zakochałam się — na zawsze”.

Nie mogła powiedzieć głośno tych paru chaotycznych zdań, które zawierały całą prawdę. Opisała już ulepszoną wersję historyjki z Jonaszem, mówiła o propozycji Luki, wspomniała Roberta, ale nie zdradziła nazwiska.

— Znowu go spotkałam — rzuciła wreszcie. Tak bardzo chciała o nim mówić... — Roberta Howarda. Zakochałam się w nim. Bez wzajemności. Oto cała historia.

— Och, Florrie — westchnęła bezsilnie matka.

— Nie mogę go zapomnieć. On...

Przerwała, bo nie była w stanie opisać tego, co czuła na wspomnienie jego głosu, rąk, smaku pocałunków.

— Co się dzieje? — zapytała Debbie.

— Och, Debbie, przestań — próbowała matka.

— W porządku, mam. Miałaś rację, Debbie. Spotkałam kogoś. Roberta Howarda, reżysera. Znałam go już wcześniej.

— O, jego? Pamiętam. Kiedyś trzymałaś jego zdjęcie pod poduszką. To było chyba dwa lata temu.

W głosie smarkuli zabrzmiała nuta złośliwości. Florrie wybuchnęła śmiechem.

— Ty do dzisiaj wieszasz zdjęcia swoich idoli na ścianie.

— Tak, ale oni to coś specjalnego. A ten twój? Zarozumiały zgrywas.

— O, tej obrazy nie zniosę! Nie znasz go przecież.

— Przestańcie się przekomarzać — powiedziała delikatnie matka, nienawykła do uciszania swoich dzieci.

— Wiecie, chyba niedawno natknęłam się na jego nazwisko, nie pamiętam gdzie...

— Och, musisz pamiętać, mamo. To było kilka miesięcy temu, gdy wyrzucili go z teatru. Wybuchł wtedy jakiś skandal. Czytałaś nam to na głos.

— Na pewno nie był to skandal — pośpiesznie sprostowała Florrie żałując, że podjęła ten temat. — Jestem pewna, że chodziło o coś innego.

Ale Debbie nie zdała się zbić z tropu.

— To było związane ze śmiercią aktorki. Jego dziewczyny chyba.

Florrie nagle pobladła. Matka spojrzała ostro na Debbie. Dziewczyna rozpaczliwie próbowała się wycofać.

— Ale na pewno nie był mordercą. A zresztą, chyba mi się wszystko pokręciło. Nic nie pamiętam i już.

— Jesteś pewna? Powiedz mi. Muszę wiedzieć.

— Nie, naprawdę nie wiem. Ona nazywała się Jennifer Greenwood. Pamiętasz, odniosła sukces w sztuce reżyserowanej przez ... Och, Roberta Howarda. Miała jechać do Hollywood.

Florrie nie wyciągnęła już nic więcej z siostry. Z ulgą poszła do kuchni przygotować warzywa na obiad.

Całą noc rozmyślała, kręciła się na łóżku, zapalała i gasiła lampkę. Wreszcie zdecydowała się. Musiała wrócić do pracy. Nie było sensu siedzieć beczynnym i oplakiwać tę beznadziejną miłość niczym bohaterka rzewnych ro mansów.

Dobrze, że usłyszała rewelacje Debbie. Wszystko zaczynało pasować. Przyjazd Roberta do Włoch to po prostu ucieczka od plotek, poszukiwanie zapomnienia po utracie Jennifer. Jej chętnie ramiona mogły mu w tym pomóc. Pewnie dziękował jej za to.

Tak. Trzeba wracać do Londynu. Włochy to już zamknięty rozdział.

Ale sen nie nadchodził.

Tego roku jesień w Londynie nadeszła wyjątkowo wcześnie. Wiały silne wiatry, nieustannie padał deszcz. Liście brązowiały i zaczynały opadać. Ludzie starali się nie patrzeć na zasnuęte ciężkimi chmurami niebo.

Florrie dostała rolę w nowym musicalu i była pochłonięta pracą. Jej rola należała do pierwszoplanowych. Miało to, być kolorowe i radosne widowisko w stylu lat trzydziestych.

Właśnie wracała do domu po bardzo wyczerpującym, ale udanym dniu. Wynajmowała mieszkanie z dwoma koleżankami. Sarah była księgową, a Neli — aktorką.

Było jeszcze jasno, kiedy wysiadła z autobusu i szła cichą ulicą w południowej części Londynu.

Dom był duży, z tarasem i filarami. Do mieszkania musiała wspinać się aż na ostatnie piętro. Schody przykryto kiedyś grubym dywanem, wytartym teraz doszczętnie. Gdzieniedzie prześwitywało brunatne linoleum, a nawet gołe deski.

Myślała tylko o kolacji. Talerz z dobrze wypieczonym stekiem i wielka misa sałatki, potem owoce i jogurt. To wszystko z pewnością czekało już na nią, bo tego dnia na szczęście dyżurowała Neli.

Wizja smacznego posiłku pomagała jej pokonywać kolejne kondygnacje. Minąwszy następny zakręt zatrzymała się. Ostrożnie przyglądała się zza rogu właścicielowi zamszowych butów, wytartych dżinsów, kraciastej koszuli i skórzanej kurtki, który w rękach trzymał wielki bukiet chryzantem.

Robert patrzył na nią z nieśmiałym uśmiechem, który odejmował mu dobre pięć lat.

— To dla ciebie. Hm... nawet nie wiem, czy ty w ogóle lubisz kwiaty. Dzień dobry.

— Dzień dobry — odpowiedziała bez entuzjazmu. — Lubię kwiaty. Dziękuję. Ale chyba pomyliłeś adres. Jesteś pewny, że to dla mnie?

— Chyba nie sterczałbym tu, gdyby chodziło o kogoś innego. Wyglądał na śmiertelnie urażonego.

— Wybierałem je z myślą o tobie. Czystość i niewinność...

Florrie zaczerwieniła się.

— Nie pasuję chyba do tego — powiedziała ze złością. — I zjedź mi z drogi. Spieszę się na kolację.

— Mała poprawka. Razem spieszymy się na kolację. To tędy — wskazał na schody prowadzące w dół.

— Proszę, odejdz — Florrie była nieprzejednana. Robert wepchnął jej w objęcia olbrzymi bukiet i

zagroził drogę. Trzymając kwiaty nie mogła go już odpychać. Stali twarzą w twarz.

— Proszę cię, porozmawiaj ze mną — powiedział.

— A co chcesz usłyszeć?

— Powiedz, że cieszysz się z tego spotkania. Albo że się nie cieszysz. Powiedz, co jadłaś na śniadanie, na obiad i na podwieczorek. Tylko mów. Milcząca Florrie jest taka obca.

— Dobrze, Tak. Nie. Bardzo mało. Czy mogę już iść?

— Powiedziałaś „tak.” To wystarczająca zachęta. Daję ci pięć minut na przygotowanie.

— Robert, czego ty właściwie chcesz? — zawołała niecierpliwie.

Ich oczy spotkały się na moment.

— Ciebie. Tylko ciebie, Florrie.

Jej opór zaczął topnieć i Robert wyczuł to. Wszedł za nią do mieszkania. Nagle zatrzymał się i zaczął pociągać nosem.

— Boże, co tak śmierdzi!

W powietrzu unosiła się ostra woń spalenizny. Z łazienki wypadła Neli w kwiecistym kimonie i, o-chlapując ich wodą ściekającą z mokrych włosów, popędziła do kuchni.

— Przepraszam Florrie, ale znowu to zrobiłam! — krzyknęła mijając ich.

Steki były z jednej strony zwęglone, ale nadawały się jeszcze do zjedzenia.

— Nie szkodzi — powiedział Robert. — Przecież wychodzimy na kolację, Florrie.

— Kto to? — oczy Neli rozszerzyły się ze zdumienia.

— Jestem Robert. Czekam, aż Florrie się przygotuje.

— To Robert. Pomylił adresy.

Neli nie mogła zrozumieć i patrzyła raz na Florrie, raz na Roberta. Wreszcie energicznie nacisnęła pedał śmietnika i zanim Florrie zdołała ją powstrzymać, jednym ruchem wyrzuciła nadpalone steki. Wzięła Howarda pod ramię.

— Popilnuję go dla ciebie. Będziemy w jadalni. Neli bardzo łatwo nawiązywała kontakty i potrafiła stworzyć swobodną atmosferę. Była też ciekawska.

„Może zrobić z niej detektywa? ” — rozmyślała Florrie, nakładając drżącymi rękami cienie na powieki. Czy udałoby się w ten sposób dojść, co miał na myśli mówiąc „chcę ciebie”? Szybko zrzuciła bluzkę i naciągnęła miękki zielony sweter, który, jak przypuszczała, podkreślał rudy odcień włosów.

Kiedy schodzili po schodach, Robert wziął ją pod rękę i zaczął rozmowę o pogodzie, jej mieszkaniu, o Neli. Florrie równocześnie intensywnie rozmyślała o paru sprawach, które wymagały wyjaśnienia. Ale kiedy próbowała zadać jakieś pytanie, Robert gasił ją:

— Później. Wszystko później ci wyjaśnię.

Poszli do pobliskiej greckiej restauracji. Podano im drinki. Florrie pociągnęła duży łyk, by uspokoić się nieco.

Bliskość Roberta zawsze powodowała zamęt w głowie.

Nie powstrzymuj mnie już — ostrzegała. — Po pierwsze, skąd masz mój adres?

— To łatwe. Od Weroniki.

— Spotkałeś się z nią? Nie widziałam jej od tygodni. Trudno ją zastać.

— To dlatego, że pracuje u mnie. Razem z Bria-nem.

— U ciebie? — Florrie była zaskoczona i nieco urażona, chociaż cieszyła się zarazem.

— Tak. Wystawiam coś nowego. Mój stary przyjaciel jest producentem. Zaczniemy w North Rondon na wiosnę. — Robert z entuzjazmem opowiedział jej o nowej, eksperymentalnej sztuce, do której włączył, dla uzupełnienia treści, trochę baletu.

— Brzmi wspaniale — podsumowała Florrie, kiedy skończył.

Coś zabłysło w jego oczach, ale głos pozostał poważny.

— Ty, wtedy gdy obstawiałem role, byłaś już zajęta. Wiedziałem o tym z pewnego źródła. Ale może znalazłabyś dla mnie trochę miejsca w twoim, na pewno pękającym w szwach, kalendarzu?

Florrie zastygła ze wzrokiem utkwionym w widelcu. Poczowała, że nie jest w stanie niczego przełknąć przez ściśnięte gardło.

„Chcę ciebie, ” powiedział.. Oczywiście mówił prawdę. Chciał — do tej swojej przeklętej sztuki. Ostrożnie odłożyła sztucce.

— Nie pożegnałeś się ze mną — powiedziała szybko. — Tylko ten telegram. I przed finałem, przez parę dni, prawie się do mnie nie odzywałeś.

— Nie chciałem cię mieszać w swoje kłopoty. Na pewno zorientowałaś się, że chodziło o coś przykrego. Nie mogłem o tym opowiedzieć, bo sam nie byłem pewien, w czym rzecz. Ale teraz już po wszystkim. — W jego głosie było mnóstwo czułości. Nie mogła dłużej się gniewać.

Chwycił jej dłonie, delikatnie gładził końce palców.

— Jesteś pewien? Po wszystkim?

— Tak. A jeśli chodzi o pożegnanie, to byłaś pogrążona w dyskusji z Luką. Myślałem, że przekonuje cię do swoich pomysłów.

— Jak to?

Florrie była półprzytomna. Jego dotyk czynił cuda.

— Przed przyjęciem był pewny, że dasz się namówić. Te twoje deklaracje powrotu do Londynu były, według mnie, przedwczesne.

— Mogłeś mi zaufać. Umieć wybierać. Właśnie wtedy mu odmówiłam.

— Musiał być bardzo rozczarowany.

— E, chyba nie. Było to dla niego bardziej niewiarygodne niż przykre. Musiał dać ogłoszenie, odpowiadać na oferty. Ale ty chyba nie myślałaś...

— Wiem, jaki wpływ na angielskie dziewczyny mają tacy dojrzały, przystojni Włosi.

— Tak, to uderzenie w głowę musiało ci zaszkodzić. Spojrzała na bliźnię na jego czole.

— Nie poprawiło moich manier, to prawda. Puścił jej rękę i dotknął bezwiednie nierównej szramy.

— Da się zauważyć — uśmiechnęła się Florrie. — Przy okazji, czy włoska policja przeszukiwała cię jeszcze? Wiedzą, kto podłożył bombę? Do mnie nic nie dotarło.

Robert pokręcił głową.

Powiedzieli tylko, że to była fuszerka. Zamachowcy podłączyli ją do zapłonu, ale drucik odpadł. Dopiero wstrząsy spowodowały wybuch.

— Dzięki Bogu.

Kończąc posiłek rozmawiali o wspólnych znajomych. Po kolacji odprowadził ją do samych drzwi.

— Może byś przyszła na próbę pewnego dnia? — powiedział.

Znowu, ku zniecierpliwieniu Florrie, powrócił do swojego przedstawienia.

— Spodoba ci się. To coś dla ciebie. No i przyjemnie by ci się pracowało z Weroniką i Brianem.

— Pomyślę o tym.

— Czy to obietnica? Przytaknęła.

Zadzwonię do ciebie wkrótce. Pochylił głowę i lekko pocałował ją w usta. Florrie czekała. Pocałował ją jeszcze raz, tym razem mocniej.

— Dobranoc, Florrie.

Wspinała się po schodach, różne myśli i uczucia kotłowały się jej w głowie. Przede wszystkim radość, że znowu go widziała, nawet jeśli chodziło mu tylko o zwerbowanie jej do tego przedstawienia.

Zastanawiała się, jak zareagowałby na wzmiankę o Jennifer Greenwood. Ale nie chciała mu psuć humoru. Pewnie łatwo doszedł do siebie po jej śmierci. Lepiej będzie, jak on sam zacznie o tym mówić.

Okropne było jednak to, że znowu pobiegła na jego skinienie. Jak piasek.

Musi być w przyszłości bardziej stanowcza.

Po dwóch dniach, w porannej poczcie, znalazła się biała, sztywna koperta. Zawierała zaproszenie na przyjęcie organizowane przez Roberta z okazji premiery. Robert swoim pismem „Mam nadzieję, że przyjdiesz, Kocham, R.” I znowu to „kocham”, tak bez oporów, naturalnie. Florrie starała się więcej o tym nie myśleć, teraz musiała zatroszczyć się o kreację.

To nie będzie taka prywatka, jak we Włoszech. Na pewno zejdą się dziennikarze oraz ludzie, którzy finansowo wspierają Roberta. Zaproszenie miało zapewne ją olśnić i przełamać lody. Musiała przyznać, że nie miała nic przeciwko jego staraniom. On nie ustanie, dopóki nie osiągnie celu, a tymczasem... mogła sobie pomarzyć.

Nareszcie przyszła wspaniała, złota i ciepła jesień. Rdzawe, brązowe i żółte liście zaścielały ulice. Stare i nowe budynki Londynu rysowały się wyraziście na tle czystego nieba.

Florrie udała się po zakupy w doskonałym nastroju, zdecydowawszy się wydać całe swoje oszczędności. Kupiła czarny kostium, składający się z szerokich spodni i góry, która miała wąskie ramiona i atłasową aplikację z przodu i z tyłu. Kieszenie spodni również były lamowane atłasem. Wyglądało to bardzo korzystnie na jej szczupłej figurze.

Przyjęcie miało się odbyć w domu Roberta w North London. Bardzo ciekawił ją ten dom.

Wyszedł do niej nie Robert, ale dostojna postać odziana w czarny frak i wykrochmaloną koszulę. Prawdziwy lokaj!

Szła za nim po schodach. Nikt nie przerwał rozmowy, gdy zaanonsował ją u drzwi, raczej zignorowano jej wejście. Dyskretnie rozejrzała się, nie zauważyła jednak żadnej znajomej twarzy. Miała nadzieję, że spotka chociaż Weronikę i Briana, ale niestety, nie było ich.

Wiele osób znała z okładek magazynów, jedną czy dwie z telewizji. Czowała się fatalnie. Chyłkiem okrążyła kilka razy olbrzymi pokój. Po drodze wzięła kieliszek szampana z tacy niesionej przez sztywnego kelnera i zajęła bezpieczne miejsce w kąciu, za wielką rośliną w doniczce. Zauważyła gdzieś w oddali Roberta, stał w środku małej grupki i zawzięcie dyskutował. Nie śmiała mu przeszkadzać.

Było jej nieprzyjemnie i zastanawiała się, jakby tu niepostrzeżenie wyjść. Na razie oglądała olbrzymi pokój. Podłoga była z polerowanego drewna, przykryta indiańskimi dywanikami. Zauważyła kosztowne chińskie wazy i lakowe pudełka. Pomieszczenie oświetlały ukryte lampy. Wszystko było gustowne, drogie i obce.

Dwaj mężczyźni, którzy dotąd o czymś nie opodal dyskutowali, zaczęli spoglądać w jej kierunku. W pośpiechu opuściła swoje schronienie udając, że uśmiecha się do kogoś znajomego.

Szybko minęła ich i ruszyła ku łukowatym drzwiom, które prowadziły do innego pokoju, wypełnionego po sufit książkami. Na ścianie wisiało kilka dobrych obrazów i rycin, a środek zajmowało wielkie, stare biurko o nieco zniszczonym blacie, zarzuconym papierami. Usiadła na obrotowym krześle i westchnęła.

Więc tutaj Robert pracuje. Czuje się go tu wszędzie. Ktoś lekko dotknął jej ramienia. Przestraszyła się.

— A, tu jesteś. Myślałem, że się zgubiłaś. Nie widziałem, kiedy wyszłaś — powiedział Robert.

Był bardzo wesoły i zadowolony z siebie. Prawdopodobnie przez myśl mu nie przeszło, że mogłaby nie przyjąć jego zaproszenia. I miał, niestety, rację.

— Nikt nie zwrócił uwagi, kiedy wszłam — kaprysiła. — Robercie, ja tu przecież nikogo nie znam.

Chwycił ją za ramię i poprowadził z powrotem.

— Jeszcze nie, ale zaraz poznasz. Wyglądasz cudownie. Czy to nowe?

— Tak.

— Kupiłaś specjalnie? Jestem zaszczycony. Wskazał na własny strój.

— Widzisz, ja mam same starocie.

Florrie nigdy przedtem nie widziała go w smokingu i muszce.

— Nie jest źle.

Robert roześmiał się i przez moment wyobraziła sobie, że mógłby ją objąć na oczach tych wszystkich ludzi. Ale on tylko podprowadził ją do dwóch dziennikarzy, rozmawiających z pewną aktorką i jej towarzyszem. Podał jeszcze kieliszek szampana i szepnął do ucha:

— Tylko nie panikuj, zaraz wracam.

— Na pewno nie będę... Ale Robert już odszedł.

— A więc, co nasza Florence Johnson właściwie robi? — zapytał David, niższy z dziennikarzy, zajmujący się głównie plotkami.

Opowiedziała mu o swoim musicalu.

— Och — uniósł brwi — to pani nie gra w tym nowym przedstawieniu Roberta? Dziwne.

Rozpoczęli rozmowę.

— Więc mimo tego, że nie bierze pani udziału w tym przedstawieniu, jest świetnie poinformowana. Robert posługuje się tańcem. Bardzo zainteresował się tą formą po powrocie z Włoch.

— Tak, to prawda. Kierował nami na próbach, kiedy stawaliśmy do konkursu.

— O, to i pani tam była? — zapytała aktorka w wielkim kapeluszu.

— Florence, takie ładne imię — rzuciła nagle bez związku, wymieniając spojrzenie ze swoim partnerem.

— Czyli jest pani bliską przyjaciółką pana Howarda. Jego nową protegowaną, zapewne — wtrącił Bob, drugi z dziennikarzy.

Florrie poczuła się niepewnie. Nie chciała stać się obiektem plotek.

— Oczywiście, że nie — powiedziała. — Po prostu razem pracowaliśmy.

Zastanawiała się, co znaczył ta „nowa”.

— Ależ tak, tak — reporter zgodził się ze wszystkim. — Ale może mogłaby pani zdradzić...

Uniknęła odpowiedzi na zapewne podchwytliwe pytanie. Koło drzwi coś się zakotłowało. To wystarczyło, żeby zapomnieli o niej.

— To chyba nie on? — zastanawiała się aktorka ścisząc głos.

— Ciekawe, czy go wyrzuci? — dodała, wietrząc sensację.

Florrie zobaczyła wysokiego, ciemnowłosego mężczyznę, mniej więcej w wieku Roberta. Ubrany był w nieskazitelny strój wieczorowy. Towarzyszył młodej tancerce, którą trochę знаła. Nie dosłyszała nazwiska gościa, było zbyt głośno.

— Nowa dziewczyna? — zastanawiała się aktorka. — Tak mało czasu upłynęło...

Zamilkła, spojrzała na Florrie i dalej szeptała do towarzysza.

— Kto to jest? — Florrie zapytała Boba. — Znam Marion, tę dziewczynę, ale jego nie.

— To jest, moja droga, Damon King. Kiedyś był reżyserem, teraz jest krytykiem, wrogo usposobionym do naszego gospodarza.

— Jest bardzo przystojny. Bob ściszył głos.

— Lepiej, żeby nasz Robbie tego nie słyszał. Jak wieść niesie, nie znosi Kinga. Z wzajemnością.

— Dlaczego?

— Hm — Bob przysunął się bliżej. — Robert zawsze był trochę lepszy, miał w sobie więcej z artysty. No i Damon musiał przełknąć o jedną gorzką pigułkę za dużo.

— Ma pan na myśli Jennifer Greenwood? — rzuciła niby od niechcenia.

— Właśnie — Bob rozjaśnił się.

Zaczął dyskutować z Davidem, pozostawiając Florrie samą.

W czasie tej rozmowy niespostrzeżenie podeszła do niej Marion. Objęła Florrie i wykrzyknęła:

— Florrie, jak cudownie cię widzieć — brzmiało to nieszczerze. Nigdy nie były bliskimi przyjaciółkami. Po prostu Florrie stała obok dwóch znanych dziennikarzy, a rozgłos był dla Marion zawsze najważniejszy.

— Opowiedz mi, co porabiasz.

Florrie opisała najważniejsze fakty. Czuła na sobie wzrok Damona Kinga.

— A więc byłeś we Włoszech z Robertem. Miałaś wielkie szczęście. Jestem zaskoczona, że cię nie zaangażował. Mnie już dawno poprosił.

„Punkt dla ciebie” — pomyślała Florrie. I z satysfakcją wyjaśniła, że Robert właśnie usilnie zabiega o jej współpracę.

— Przedstaw mnie swojej przyjaciółce, Marion — poprosił Damon.

Głos miał niższy niż Robert. Mocno uściskał jej dłoń.

— Kochanie, Florrie właśnie opowiadała mi o Włoszech.

— Aha... A czy myśmy się już kiedyś nie spotkali, panno Florence?

Uśmiechnął się uwodzicielsko. Florrie żałowała, że Robert tak go nie lubił, Damon był naprawdę przystojny. Wyjaśniła, że nie przypomina sobie. Wszyscy przysłuchiwali się z ciekawością ich rozmowie.

Nagle ktoś położył jej rękę na ramieniu.

— Nie byłeś zaproszony, King — powiedział ostro Robert.

— Ale ja towarzyszę Marion — Damon silił się na uprzejmość.

W jego oczach widać było nienawiść.

— Poprosiła mnie, bym z nią przyszedł. Jesteś taki znany ze swojej gościnności...

— Wybacz, że pozbawię cię towarzystwa Florrie. Chcę jej kogoś przedstawić.

— To wielka strata... — zaczął Damon, ale Robert odciągnął ją na bok.

— Robert, to było bardzo niegrzeczne — protestowała Florrie. — Wszystko z powodu jakiejś głupiej kłótni...

— Nie mieszaj się w sprawy, o których nic nie wiesz. I trzymaj się od niego z daleka. To zły człowiek.

— Dlaczego? — syknęła i wyrwała się. — Nie widzę nic złego w uprzejmości.

— Mówię ci, Florrie, nie zbliżaj się do niego. Bądź teraz dobrą dziewczyną i choć ze mną.

— Ale musisz mi powiedzieć, dlaczego...

Zamilkła. Nie warto było się upierać. Jego zaciśnięte usta nie wróżyły nic dobrego. Przemknęła jej przed oczyma scena z wypadku.

Spędziła resztę wieczoru na rozmowie ze starszą parą, dalekimi krewnymi Roberta. Byli bardzo mili, ale Florrie wiedziała, że Robert kazał im jej pilnować. Była wściekła na niego.

Odwieźli ją nawet do domu. Wielu gości już wyszło, Damon też. Robert wyglądał na bardzo zmęczonego. Odprowadził ich do samochodu.

— Dziękuję za to, że przyszaś, Florrie. Mam nadzieję, że nie zapomnisz o obietnicy, a raczej o obietnicach.

— Wiem tylko o jednej — odparła krótko — i nie zapomnę na pewno.

„To był bardzo interesujący wieczór” — pomyślała. Znalazła nowy cel — dowiedzieć się wszystkiego o Damonie King i Jennifer Greenwood.

ROZDZIAŁ VI

Zadanie to jednak okazało się daleko trudniejsze, niż sobie wyobrażała. Nikt z członków zespołu nie wiedział nic konkretnego o Jennifer. Pozostawał tylko King. Ktoś zasugerował przeszukanie przebieralni, gdzie powinno być jakieś zdjęcie aktorki.

Florrie znalazła małe, czarno-białe zdjęcie dziewczyny o prostych ciemnych włosach, ciepłym uśmiechu i wesołych oczach. Wyglądała ślicznie, co nie poprawiło Florrie humoru.

Zazwyczaj w czasie długich przerw między próbami rozmawiała lub czytała książkę. Dzisiaj jednak zaszyła się w kącie, zatopiona w niewesołych myślach.

Z teatru wyszła późno, o szóstej. Pożegnała się i pobiegła na przystanek. W połowie drogi zderzyła się z... ogromnym bukietem kwiatów.

— Mówiłaś, że lubisz kwiaty, przyniosłem ci więc jeszcze więcej. Tym razem różnych.

Wręczył jej wielki bukiet.

— Czekaleś na mnie? — zapytała zaskoczona.

— Tak.

— Musisz być zmarznięty. Myślałam, że masz dużo zajęć.

— Zrobiłem sobie parogodzinną przerwę. Czekałem w kawiarni naprzeciwko. Chciałabyś coś zjeść?

Nie musiała się zastanawiać.

— Tak, oczywiście.

Sarah znowu będzie mogła zjeść jej porcję. — No to chodź.

Kiedy przechodzili przez ulicę, wziął ją delikatnie pod rękę.

— Chyba moje miejsce nie zdążyło jeszcze wystygnąć.

Czekając na zamówione dania wypytywał ją o pracę, dzisiejsze zajęcia, wieczorne plany. Florrie wyczuwała, że pod tą wesołą pogawędką kryło się coś poważniejszego i smutnego. Czyżby widok Damona Kinga obudził w nim przykre wspomnienia o Jennifer?

Wreszcie kelner przyniósł dwa dymiące talerze spaghetti. Florrie z zapalem zabrała się do jedzenia. Robert patrzył z rozbawieniem.

— Co za apetyt! — zażartował. — Czy wszystkie twoje apetyty są takie dzikie?

Gorący rumieniec oblał jej twarz.

— Nie wiem, o czym mówisz — wykrztusiła z pełnymi ustami.

Robert roześmiał się, doprowadzając Florrie do wściekłości.

— Czy już ci mówiłem, jak pięknie wyglądasz, kiedy...

— Dość!

— Posiłki z tobą są takie cudowne!

— Dlaczego mnie zaprosiłeś na to przyjęcie? — zapytała z fałszywą ciekawością. — Czyżbym była aż taką dobrą tancerką?

Miała ustalony pogląd na temat swojego talentu. Była dobra technicznie, muzykalna, ale nie wybitna. Nie miała szans na zostanie gwiazdą sceny.

Robert wytrącił ją z równowagi.

— Staram się o twoje względy — powiedział poważnie — w staroświecki sposób. Nie podoba ci się?

Uśmiechnęła się z niedowierzaniem.

— Nie wygłupiaj się. Powiedz prawdę.

— Już powiedziałem. Nie wierzysz mi?

— Takie rzeczy się nie zdarzają.

— Co? Żaden z twoich chłopaków nie adorował cię w ten sposób?

— Ja nie mam... o tak, często — powiedziała sztywno.

— O czym teraz myślisz?

— O twoim przyjęciu — skłamała. — Byłeś zadowolony?

— Tak, to był duży sukces. Nie czytałeś gazet? Nawet o tobie wspomnieli.

— O mnie? — Florrie aż podskoczyła. — Czemu wcześniej nie powiedziałeś?

— Myślałem, że wiedziałaś — Robert był zaskoczony. — Zresztą to tylko wzmianka o mojej nowej protegowanej.

— To pewnie Bob. Pytał mnie o to wczoraj, ale przecież zaprzeczyłam. Co za łobuz!

— Czy to takie straszne?

— Tak — unikała jego wzroku. — Robert, ilu służących zatrudniasz?

Odłożył widelec zaskoczony.

— Co za pytanie!

— Tak, to dla mnie ważne. Odchylił głowę i roześmiał się głośno.

— Przepraszam, Florrie. Nie śmiałem się z ciebie. Nie, nie mam służby. Ci ludzie byli wynajęci na przyjęcie. Co tydzień przychodzi sprzątaczką.

— Ładny dom. Cały jest twój? Widziałam tylko dwa pokoje i kuchnię.

— Możesz przyjść i odbyć inspekcję o każdej porze — zaproponował.

— Hm... — Florrie dobierała słowa starannie. — Bardzo duży dla jednej osoby.

— Dość duży.

Nagle spowaźniał, jakby zorientował się, że Florrie przeprowadza małe przesłuchanie. Ciekawe, czy dzielił ten dom z Jennifer?

— Florrie, przepraszam, ale będę musiał już iść. Chcesz coś jeszcze?

— Tylko kawę.

Miała jeszcze jedno pytanie.

— Wiesz, policja we Włoszech obeszła się ze mną bardzo grzecznie. Czy coś im mówiłeś? I czy wiesz coś jeszcze?

— Nie wiem. Ale masz rację, powiedziałem im, że nic nie jesteś w stanie wyjaśnić...

— Dzięki!

— ...i że jesteś niewinna. Widocznie mi uwierzyli. Robert pocałował ją jeszcze raz na przystanku. Był to jeden z tych delikatnych, gorących pocałunków, które rozpałały wszystkie jej zmysły.

Jej prywatne śledztwo nie posunęło się do przodu. Zabrała się więc do gruntownych porządków. Po chwili jej pokój przypominał salon wyprzedazy po przejściu hordy klientów. Na tym etapie przerwała. Napuściła gorącej wody do wanny i zajęła się górą kolorowych magazynów, które matka zatrzymała dla niej, gdy była we Włoszech.

Przeglądała właśnie majowy numer jednego z droższych pism, gdy musiała gwałtownie usiąść, rozbryzgując wodę z pianą po całej łazience. Była to informacja z działu wypadków, mówiąca o Robertcie Howardzie i Jennifer Greenwood.

„Czy ostatnie nieszczęścia doprowadziły Roberta Howarda do porzucenia kariery? Plotki i pech dręczą gwiazdę sceny brytyjskiej od dnia śmierci pięknej aktorki J.G., która zginęła w wypadku samochodowym. Wiele mówi się o samobójstwie. Do czego może przywieść męski urok Howarda...”

Florrie czytała ten fragment w kółko, aż czasopismo zaczęło się rozłazić w mokrych palcach. Pograżyła się w rozmyślaniach. Robert jako pożeracz serc? I te aluzje do kariery? Czemu „nieszczęścia”? Może rzeczywiście zdarzenia we Włoszech miały coś wspólnego z przeszłością Roberta?

Ale najbardziej bolesne były te domniemania o samobójstwie Jennifer.

Westchnęła, rzuciła magazyn na podłogę i rozciągnęła się z powrotem w wannie. Może Robert jest zupełnie inny, niż dotąd sądziła? Może Jennifer dlatego się zabiła?

Ale jej niezawodna intuicja wołała : Bzdury! Robert jest wspaniały!

W szlafroku i kapciach, z włosami owiniętymi ręcznikiem usiadła przed telewizorem. Zadzwonił telefon i w słuchawce odezwał się męski głos.

— Tak, tu Florene. Kto mówi?

— Wspólna przyjaciółka, Marion, przedstawiła nas sobie. Dała mi też pani numer. Tu Damon King.

— O tak, pamiętam.

„Damon King — od niego będzie można coś wyciągnąć” — pomyślała.

— Bardzo miło nam się rozmawiało — powiedziała gładko.

— Wiem, że ma pani agenta, ale byłoby korzystnie dla nas obojga, gdybyśmy się spotkali. Szczególnie dla mnie. Dobry krytyk powinien mieć czułe oko na młode talenty.

— Och, jestem zaszczycona — odparła. W podświadomości dźwięczały jej słowa Roberta: „Trzymaj się od Kinga z daleka”.

— Może skusiłaby się pani na wspólne wyjście do teatru i lekką kolacyjkę?

— A na jaką sztukę?

— „Nawałnica”. Bilety są już wysprzedane, ale mam wejściówki dla prasy.

Florrie gorączkowo się namyślała. Bardzo chciała zobaczyć tę sztukę, nie za wszelką cenę jednak. Ale może wreszcie Damon zaspokoi jej ciekawość. No i gdyby udało się jej pogodzić ich dwóch...

Zgodziła się. Ustalili szczegóły.

Zasnęła pełna optymistycznych myśli, lecz w zimnym świetle poranka pewność słuszności tego postępowania zmaląła. Co właściwie wiedziała o Damonie Kingu?

Telefon zadzwonił, gdy już wychodziła. Jak zwykle coś ścisnęło ją za serce na dźwięk jego głosu.

— Hej, jak się masz. Miłą miałaś kąpiel? — zapytał.

— Co? — Nagle przypomniała sobie, że poprzedniego wieczoru opowiadała szczegółowo o swoich planach.

— Tak, tak. Było wspaniale.

— Czy jesteś wolna dzisiaj po południu? Właściwie po to dzwonię.

— Dziś nie — ale od jutra do końca roku w każdym terminie.

— Ale jutro nie mam czasu. Nie możesz tego odłożyć?

— Hm, bilety już są i widzisz... Florrie była przerażona.

— Mogę też iść? Co to za sztuka?

— „Nawałnica”.

Nie zastanawiała się nad odpowiedzią, a teraz było już za późno.

— Jak udało ci się zdobyć bilety? Kosztują fortunę na czarnym rynku. Z kim idziesz, Florrie?

— Och, ze znajomym.

— Florrie, nie chcesz chyba powiedzieć, że to Damon King! Jego głos brzmiał bardzo poważnie. Nie mogła złapać oddechu. Mimo dobrych intencji uwikłała się w jakąś poważną sprawę.

— Odpowiedz. To on, prawda?

— Tak — udało jej się wydusić. — Widzisz...

— Dość! Chyba powiedziałem jasno, co sędzę o tym człowieku.

— Po co krzyczysz. Posłuchaj. Widzisz, ja myślałam...

— Nie pójdziesz, czy dobrze zrozumiałaś? Odwołaj to, nie idź. Nieważne, jak to zrobisz.

— Ale, Robercie, mogłabym tylko z nim porozmawiać, może...

— Florence, nie idziesz na to spotkanie, jasne?

— Czemu mnie nie słuchasz! — rozzłościła się — To jest śmieszne! Dwóch dorosłych mężczyzn...

— Przestań, Florrie!

— Nie masz prawa mi rozkazywać! Przeszkadzasz mi...

— Ty idiotko, czy nie rozumiesz...

Nie mogła tego znieść. Rzuciła słuchawkę, opadła na krzesło i rozplakała się.

— Panno Johnson, proszę się skoncentrować! — reżyser podkreślał słowa stukając w podłogę okutą srebrem laseczką.

— Proszę jeszcze raz!

Ciszę przerwało szuranie. Grupa zaczęła ustawiać się od nowa, lecz mimo tego nikt nie rzucał słych spojrzeń na obłąaną rumieńcem twarz Florrie. Była im za to wdzięczna.

Ta okropna sprzeczka z Robertem kompletnie wytrąciła ją z równowagi, nie mogła się skupić. Próbowwała o tym zapomnieć. Robert powtarzał zawsze, że wchodząc na scenę trzeba odrzucić swoje osobiste sprawy. „To dobre dla niego” — pomyślała. — „On jest nieczuły jak głaz”.

Dzień włókł się niemiłosiernie. Czy powinna posłuchać Roberta, czy też robić swoje? Duma mówiła jej, że nie może tak zawsze ulegać. Przecież on ciągle krył przed nią swoje tajemnice. Tylko dlatego chciała spotkać się z Damonem.

Z drugiej strony, przez swój głupi upór, mogła wszystko zepsuć.

Ale przecież Robert wcale się do niej nie zbliżył, nie miała niczego do stracenia. Z tego wszystkiego rozbolała ją głowa.

Robert mógł tutaj przyjść w każdej chwili. Bała się tego. Z jednej strony bardzo chciała go zobaczyć, mogłaby wtedy wyjaśnić, spróbować przekonać go do swojego pomysłu, lecz zarazem panicznie bała się rozmowy. Ciągle spoglądała w stronę drzwi, podskakując na każdy dźwięk.

Nie pokazał się, nie przysłał też żadnej wiadomości. W drodze powrotnej specjalnie przeszła na drugą stronę ulicy, żeby zajrzeć do kawiarni, gdzie ostatnio siedzieli. Nie było go tam.

Co to był za dzień. Co gorsza, jeszcze się nie skończył.

Spotkała Damona Kinga przy wejściu do teatru. Był ubrany w elegancki garnitur, na który zarzucił gruby płaszcz. Jaka różnica w porównaniu z wymiętymi i niedopasowanymi strojami Roberta!

— Florence! — Damon przywitał ją, nie kryjąc radości. — Tak się cieszę, że przyszaś.

Uścisnął mocno jej dłoń. Palce miał zimne.

— Chodźmy na górę, do baru. Zająłem fotele. Przeprowadził ją przez rozgadany tłum w foyer. W

barze, oczywiście, nie było wcale luźniej.

— Poczekaj tu.

Nauczona doświadczeniem oparła się wygodnie, przygotowana na długie czekanie. Damon wrócił jednak po kilku sekundach.

— Znam barmana — wyjaśnił — i już dawno wszystko zamówiłem.

Florrie trochę irytowały jego popisy. Tak, jakby chciał ją olśnić swoimi wpływami. Ukrywała jednak niechęć, gdyż ten wieczór miał dla niej duże znaczenie.

Podczas gdy Damon opowiadał o innych wersjach „Nawałnicy” i o przedstawieniu, które sam wyreżyserował w college’u, ludzie przystawali, by mu się uklonić i przede wszystkim uważnie

obejrzeć jego partnerkę. Chociaż Damon przedstawił ją wytwornie: „Panna Florence Johnson”, wyczuwała w tym odrobinę nieszczerości.

Odezwał się gong. Powoli ruszyli do swoich miejsc. Florrie poddawała się urokowi chwili tuż przed podniesieniem kurtyny. Damon studiował program i robił uwagi w notatniku. Miał napisać recenzję przedstawienia. Florrie zajęła się obserwacją widowni. Zawsze ją bawiły te oględziny. Zgadywała, kto jest kim, próbowała rozpoznać jakieś znakomitości. W końcu jej wzrok spoczął na twarzy Damona.

Zastanawiała się jak to jest, że ten mężczyzna

o idealnym profilu, pięknych włosach, nieskazitelnej twarzy naznaczonej jedynie dwoma wyźlobieniami koło ust, w ogóle jej nie pociągał? Robert zaś miał nos z niedużym garbkiem pośrodku, starą bliznę na podbródku, nową zdobytą we Włoszech, a jego włosy nie dawały się doprowadzić do porządku.

I pomimo tych niedoskonałości był taki wspaniały! Jego twarz była ludzka i żywa, a Damon nosił swoją niczym maskę.

Florrie była pod wrażeniem sztuki. Nie ochłonęła jeszcze, kiedy opuścili teatr i szli do restauracji w Covent Garden, gdzie, jak twierdził Damon, zawsze jadał po przedstawieniach na West Endzie. Damon naskrobał po drodze jeszcze parę uwag.

— Nieźle — zabrzmiał jego ostateczny werdykt. — Dobrze wykorzystane oświetlenie, oryginalna aranżacja. Tylko wybrali dziwną wersję utworu. Wcześniejsza...

Florrie nie mogła się powstrzymać.

— Była świetna. Nigdy nie widziałam lepszej!

— Podobało się pani? — zapytał z zainteresowaniem. — Pani wolno dać się ponieść wrażeniu. A ja muszę ciągle rozbierać na elementy, szukać uchybień. Nie mogę odebrać całości.

Mimo woli poczuła odrobinę współczucia.

Restauracja, którą wybrał, specjalizowała się w dobrej, angielskiej kuchni. W środku było sporo ludzi, ale kelner od razu poprowadził ich do stolika w rogu, idealnego dla dwóch osób. Jedzenie i wino przyniesiono niemal natychmiast.

— Oplaca się być stałym gościem — uśmiechnął się Damon.

Florrie zauważyła, że kelner po prostu zapytał:

— Jak zwykle, sir?

Zastanawiała się, dlaczego taki, mimo wszystko młody jeszcze człowiek, prowadzi tak unormowane życie. Stały stolik, menu, znajomy kelner. Stabilizacja na siłę. Miało to pewnie dodać mu powagi i podnieść prestiż.

Siedziała tyłem do sali, ale widziała wszystko w wypolerowanych miedzianych ozdobach w boazerii. Robert mógł nagle wyskoczyć z jakiegoś kąta i u-rządzić scenę, może nawet bójkę. Na myśl o tym skurczyła się w sobie i schowała twarz we włosach.

— No a teraz, Florence, powiedz mi o swojej karierze — zaproponował Damon. — Zapamiętam wszystko.

Jako mała dziewczynka zaczęła pobierać lekcje tańca. Rodzice zmuszali ją do tego, bo jakaś starsza ciotka obiecała je opłacać.

Okazało się, że ma talent, powoli pokochała taniec. Gdy miała kilkanaście lat, o mało nie porzuciła lekcji. Na szczęście zainteresowała się tańcem nowoczesnym, odkryła w nim nowe możliwości i zostawiła balet klasyczny.

Było to trochę dziwne, że opowiada historię swego życia, a przynajmniej jej część, człowiekowi, którego na dobrą sprawę nia zna, podczas gdy Robert nigdy nie wykazywał nawet najmniejszego zainteresowania jej przeszłością. Florrie także nic o nim nie wiedziała. Zmroziło ją to. Czyżby byli sobie aż tak obcy?

— Florence — pomachał ręką przed jej oczami, tak że aż podskoczyła. — Gdzie byłaś? Uśmiechnął się.

— Przepraszam, zamyśliłam się. Ten deser wygląda wspaniale.

Kelner bezszelestnie postawił przed nią porcję truskawek ze śmietaną.

Damon pomieszał swoją kawę. Miał dziwny wyraz twarzy.

— Wiesz, przed chwilą bardzo mi kogoś przypomniałaś. Może słyszałaś o aktorce Jennifer Greenwood?

Florrie o mało nie udławiła się truskawką, tak zaskoczyło ją to nazwisko wypowiedziane przez Da-mona. Trzeba było kuć żelazo, póki gorące.

Sprytnie ukryła zaskoczenie i pociągnęła łyk wina z kieliszka.

— Tak? Ale ona chyba miała ciemne włosy. Jak mogę być do niej podobna?

— To twoje spojrzenie, ten półuśmiezek na twarzy, policzki. Ona była bardzo piękną kobietą.

Florrie splotła pod obrusem mokre ze zdenerwowania dłonie.

— Jest bardzo dobrą aktorką, prawda? Ale chyba w niczym ostatnio nie występowała?

Błagała niebiosa o wybaczenia tego kłamstwa. Starła się patrzeć w talerz. Kątem oka zauważyła, że Damon jakby na chwilę zrzucił swoją maskę.

— Więc nie wiesz? — powiedział, odzyskując swój zwykły spokój.

— Czego? — zapytała niewinnie.

— Ona nie żyje, miała wypadek samochodowy na początku roku...

Pierwszy raz okazał w jej obecności, że jest zdolny coś przeżywać. Jego oczy lśniły, były jeszcze ciemniejsze, niż zwykle.

— Jej śmierć była wielką stratą. Dla teatru i dla mnie osobiście.

— Tak mi przykro — powiedziała cicho. — Nie wiedziałam.

Do tej pory sądziła, że cała historia dotyczyła Roberta i Jennifer. A teraz Damon mówi, że ...

— Zaręczyny nie były jeszcze oficjalnie ogłoszone. Ona chciała... Oboje chcieliśmy uniknąć rozgłosu. Ale wszystko było już ustalone.

— Taka tragedia — współczuła. — Umrzeć tak młodo.

Bawił się kieliszkiem. Nagle podniósł gwałtownie głowę i zapytał:

— Robert Howard nigdy ci o tym nie mówił?

— Nie, ani słowa. Dlaczego miałby?

Damon zmarszczył czoło.

— Myślałem, że bardziej leży mu to na sumieniu. To za jego radą zdecydowała się pojechać do Ameryki. Gdyby tam nie wyruszyła, żyłaby do dzisiaj.

Florrie zamarła.

— Słuchała wszystkiego, co jej mówił. „On wie najlepiej”, często powtarzała. Ale jak mógł chcieć osiągnąć w ten sposób coś dobrego — wykrzywił wargi. — Sama w obcym kraju... nie byłaby już gwiazdą, tylko kimś nieznanym. Nic dziwnego, że to zrobiła...

— Więc popełniła samobójstwo? — Florrie wyszeptwała przerażona.

Damon próbował się pozbierać.

— Była młoda, łatwo ulegała wpływom. To mogło zdarzyć się każdemu. Nie ma sensu grzebać w przeszłości. Proszę, zapomnijmy o tej rozmowie.

Zauważył, że jest przygnębiona.

— Przepraszam. Wybacz mi.

— Myślę, że na mnie już czas — powiedziała Florrie.

Opowieść Damona wieńczyła ten okropny dzień. Dowiedziała się o wiele więcej, niż pragnęła. Może Robert obawiał się ponownego wywołania skandalu i dlatego zależało mu, żeby Florrie i Damon nigdy się nie spotkali.

Nie mogła zasnąć. Może Robert zwrócił na nią uwagę dlatego, że była podobna do Jennifer Greenwood? Albo potrzebował nowej przyjaciółki, by przyciągnąć zainteresowanie prasy i zrobić sobie reklamę? Ale dlaczego właśnie ją uznał za godną tego zaszczytu?

I tak dalej, i tak dalej...

Czy Robert był człowiekiem, którego nic nie powstrzyma od zrealizowania swoich zamierzeń, zimnym, wyrachowanym, dążącym do celu po trupach? Wiedziała już, że najważniejsza była dla niego praca.

Najbardziej ciążyło jej milczenie, za którym krył swoje postęпки i charakter.

W końcu zasnęła. Obudziła się z trudem. Pierwszą myślą było pytanie, czy Damonowi można ufać. Nie miała tego dnia próby ani innych zajęć. Bardziej niż kiedykolwiek marzyła o tym, aby znowu znaleźć się we Włoszech, najlepiej wczesnym latem. Siedziałyby na werandzie w oślepiającym słońcu i rozmawiała z Weroniką. Byłoby to jeszcze przed przyjazdem Roberta, który wyrócił całe jej życie do góry nogami.

ROZDZIAŁ VII

Robert nie próbował kontaktować się z Florrie przez parę następnych dni. Telefon uparcie milczał. Setki razy podchodziła do aparatu, z trudem powstrzymując się od wykręcenia numeru. Godzinami patrzyła na puste kartki, na których miał powstać list: przeprosiny, wyjaśnienia, trochę wymówek.

Zwierzyła się Neli i Sarah, bardzo jej współczuły. Wymyśliły teorię, że gdzieś tu zaszło nieporozumienie, Robert musi być tym człowiekiem, jakim go kochała. Przecież tak ujął przenikliwą Neli już za pierwszym razem. Znajdowały różne sposoby by pomóc Florrie wyrwać się z ogarniającej ją depresji, ale nie przypadły jej te propozycje do gustu.

W końcu zadzwonił telefon. Był to jednak Damon King. Bardzo uprzejmie wypytywał ją o samopoczucie, gdyż wiedział, jaki zamęt spowodował i zaskoczył prośbą o spotkanie w piątek. Niechęć musiała bardzo wyraźnie zabrzmieć w jej głosie, bo natychmiast rozpląnął się w przeprosinach.

— Czuję się winny za tamten wieczór. Nagadałem tyle zbędnych rzeczy. Niepotrzebnie cię zdenerwowałem i chciałbym jakoś ci to wynagrodzić. Czy pozwolisz? Florrie nie była pewna.

— Przy okazji, spotkałem wczoraj Roberta. Kiedy powiedziałem mu o naszym miłym wieczorze, ostrzegł mnie, żebym trzymał się z dala. Oszczędzę ci szczegółów. Więc jeśli odmówisz, wszystko zrozumie.

— Naprawdę? — Florrie była wściekła.

Robert nie odezwał się do niej od tygodnia, a za plecami uparcie mieszał się w jej sprawy.

Właściwie... Będzie mi bardzo miło zobaczyć się z tobą.

— Dobrze. Przyjadę po ciebie. Może o wpół do szóstej?

— Lepiej o szóstej.

— Bardzo dobrze.

— Przez moment pomyślała, że chyba źle robi. Wyglądało to tak, jakby Robert wpychał ją Damono-wi w ramiona. Postanowiła skontaktować się z Weroniką. Może ona będzie coś wiedziała o Robercie. Dzwoniła wiele razy, nim w końcu udało jej się złapać koleżankę późnym wieczorem. Weronika przeprosiła za to, że jest tak trudno uchwytna, ale ostatnio mieli z Brianem tyle spraw do załatwienia... Umówiły się na obiad.

— Czy masz w tym tygodniu próby z Robertem? — zapytała Florrie.

— Wczoraj, dzisiaj, jutro. Czy przyłączysz się do nas? Byłoby cudownie.

— Nie, nie mogę, Weroniko. Z powodu Roberta. Przy okazji, co u niego?

— Tak jak zwykle. Jest bardziej pochłonięty przedstawieniem. A o co chodzi?

— Pokłóciliśmy się dość poważnie — wyznała Florrie. — Wiesz, nie podobało mi się jego zachowanie i...

— Sprzeczka zakochanych.

— Chciałabym! — westchnęła Florrie. — Nie zaszliśmy tak daleko. Myślę, że on... w każdym razie wdepnęłam paskudnie i brnę dalej. Gdybym tylko wiedziała...

— Więc naprawdę jesteś zakochana w Robercie — powiedziała Weronika z triumfem. — Od dawna podejrzewałam.

— Tak. Niestety tak. Ale jemu chodzi tylko o moje ciało — to znaczy o mój taniec i o podobieństwo do pewnej aktorki, którą kiedyś znał. Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby interesował się moim ciałem, na umysł też by przyszedł czas. Ale on już nigdy się do mnie nie odezwie. Przez Damona Kinga.

Weronika roześmiała się.

— Oj, zaczekaj, Flo. Posłuchaj. Jestem pewna, że to nieporozumienie. I musisz mi opowiedzieć tę historię z aktorką. Ale to potem. Teraz pobawię się w swatkę. Często chodzimy do pubu w piątki, po próbie, wszyscy razem. Mogłabyś wpaść przypadkiem.

— Ale ja nie mogę... Przyjęłam zaproszenie Damona Kinga.

— Więc nie idź. To krytyk teatralny, prawda?

— Ale muszę... muszę przez rozmowę z nim coś wyjaśnić.

— Dobrze, ale bądź ostrożna. Odrzucaj wszystkie oświadczyzny, zanim nie zadzwonię. Mogłaś mi wcześniej o wszystkim opowiedzieć.

— Wiem, ale bałam się. Mogłaś pomyśleć, że zwariowałam.

— Nonsens. Pochwalam twój wybór w stu procentach. Mam szósty zmysł w tych sprawach, jak Sally. Zostaw to mnie.

Florrie była podbudowana pogawędką z Weroniką. Szkoda, że wcześniej nie dopuściła jej do swoich tajemnic.

Przez większą część dnia padało, ale po południu zaczęło się przejaśniać. Florrie miała ciężki dzień, bolała ją głowa, więc wzięła gorącą kąpiel. Obiecała sobie, że już nigdy nie da się wpłatać w tak niepewną sytuację. Ale, jak powiedziała Weronika, musiała sobie udowodnić, że nad wszystkim panuje.

Owszem, nawet lubiła Damona Kinga. Trochę ją jednak męczył. Nie spocznie póki nie wyjaśni źródła niechęci między nim a Robertem.

Damon nieco się spóźnił. Ulice były zatłoczone, chociaż godzina szczytu już minęła. Skierowali się na południe. Florrie patrzyła na strzępiaste, czarne chmury, ciężko wiszące na niebie. Tylko w jednym miejscu prześwitywała odrobina błękitu i purpury zachodzącego słońca.

Damon skoncentrował się na prowadzeniu. Samochód był duży i wygodny, wyposażony w magnetofon. Zapytał ją, czy chciałaby posłuchać czegoś szczególnego, ale było jej to obojętne. Wybrał jakąś lekką i spokojną melodię. Florrie z trudem walczyła z ogarniającym ją snem.

Muzyka ucichła, ruch niemal ustał, było już całkiem ciemno. Florrie kręciła się niespokojnie. Jechali już dość długo i nie miała pojęcia, gdzie są. Damon gawędził o tym i owym.

— Ale to daleko — stwierdziła, zawierając w tym delikatne pytanie.

— Robisz się głodna? — uśmiechnął się przepraszająco. — Przykro mi, ale te korki... Będziemy w pubie za kilka minut. Myślałem, że z radością wyrwiesz się na chwilę z Londynu. Chociaż to nie jest prawdziwa wieść...

Ledwie skończył, jakby na potwierdzenie jego słów ukazał się podjazd do starego, jasno oświetlonego zajazdu. Jadalnie zdobiły imitacje świeczników z żarówkami, a stoły i krzesła nosiły ślady dawnej świetności. Pomieszczenie było jednak przestronne, a serwowane potrawy, według Damona, doskonałe. Florrie po tej długiej podróży nie potrzebowała zachęty do jedzenia.

Kiedy kelnerka zabrała talerze po zupie, Florrie zaczęła się zastanawiać, kiedy Damon zamierza o-powiedzieć jej o Robercie i Jennifer. Przecież po to tu przyjechali. Jak dotąd próbował tylko ją oczarować.

Był w świetnym humorze. Ale Florrie nie potrafiła się rozluźnić. Wiedziała, że może już nie odbudować przyjaźni z Robertem, co więcej — sprawy zaszły tak daleko, że mogła go już nawet nie zobaczyć. Musiała dowiedzieć się prawdy.

Póki istniała ta tajemnica, Robert był dla niej niedostępny. W towarzystwie Damona czuła się dobrze, może był trochę zbyt...

Florrie zaczęła się niecierpliwie. Ułożyła sobie podchwytliwe pytanie, które miało wyzwolić potok

wynurzeń na interesujący ją temat, ale Damon ją uprzedził.

— Widzę, że tracę twoją uwagę. Chciałaś posłuchać o Robercie i Jennifer, prawda?

Florrie zaczerwieniła się.

— Tak, ja... Tak, proszę.

Chwilę siedziała cicho, jakby porządkując myśli.

— Robert i ja znamy się bardzo długo. Chodziliśmy do tej samej szkoły. Nie wiedziałaś, prawda? Mało kto wie. Był raczej leniwy, niezdyscyplinowany. Nic dziwnego, że według niego byłem... Rywalizowaliśmy w klasie i biliśmy się poza nią. Inni chłopcy robili nawet zakłady. Czasem wygrywałem ja, czasem on. Ale... skrzywił się boleśnie — ludzie zawsze byli bardziej skłonni wybaczać jemu.

Florrie pilnie słuchała opowieści o młodym Robercie. Wyobrażała sobie, jak będzie mogła kiedyś z nim o tym porozmawiać.

— Robert zmienił się, zaczął się pasjonować teatrem. Samym w sobie, nie aktorstwem czy reżyserią.

Patrzył jej prosto w twarz. Czują, jak przykuwa ją wzrokiem.

— Chciał władzy — władzy nad ludźmi, żeby robili to, co im każe.

To w taki przykry sposób pasowało do teorii Florrie.

— Czy obrałeś tę samą drogę, żeby dalej z nim rywalizować? — zapytała.

— Nie wiem — powiedział ucziwie Damon. — Ale nagle on zaczął zwyciężać częściej niż ja, osiągnął sławę, zdobywał przychylność...

— Dlaczego nie wybrałeś sobie czegoś innego? — wypytywała. — Czegoś, w czym byłbyś najlepszy, jedyny?

— O nie. Tego nie mogłem zrobić. Czy nie rozumiesz, że to byłoby jego ostateczne zwycięstwo? Nie mogłem sobie na to pozwolić.

Dziwne, jak przypominało to coś, co Robert kiedyś powiedział. Tylko ton był inny. Te słowa padły po cichu, a Robert je wykrzykiwał. Musiał mieć na myśli Damona.

Nagle zrobiło jej się słabo. Serce głucho waliło jej w piersi. Teraz zrozumiała! Musiała jak najszybciej się stąd wydostać. Nie chciała już dłużej go słuchać. To Damon był sprawcą wszystkiego. Rywalizacja w szkole to jedno, podjazdy na polu zawodowym — to też jest jeszcze zrozumiałe. Ale bomby? Wandalizm? Czy Damon był w stanie zrobić to wszystko, nawet krzywdzić niewinnych ludzi, byle tylko zranić Roberta? Czy zamierzał go zniszczyć?

Zdała sobie sprawę z tego, że patrzy na nią w jakiś dziwny, niepokojący sposób.

— Tak było też z Jennifer — zakończył, ale Florrie nie słuchała.

— Damon — powiedziała. — Przypomniałam sobie o czymś. Muszę być wcześniej w domu. To pilne. Zamówię taksówkę do najbliższej stacji kolejowej. A właściwie, to gdzie my jesteśmy?

Jej słowa wyrwały go z transu. Znowu wydawał się być normalny.

— Oczywiście, Florrie. Czemu nie powiedziałaś wcześniej? Ależ żadnych pociągów, nawet nie myśl o tym. Przywiozłem cię tutaj, więc osobiście dopilnuję twojego powrotu.

Był tak ujmujący, że Florrie zaczęła się zastanawiać, czy nie poniosła ją wyobraźnia. Może to ona wariuje i te niestworzone rzeczy, jakie opowiadał, były tylko jej wymysłem? Damon pośpiechu poprosił o rachunek, zapłacił i poszli do samochodu.

— No, będziesz w domu „minuta pięć” — powiedział. — Wskakuj!

„Minuta pięć, wskakuj”? Czy wytworni panowie używają takich słów w stosunku do dam? On naprawdę jest niezrównoważonym człowiekiem. Czują jak w piersiach wzbiera jej

histeryczny śmiech. Jeśli Robert o tym wiedział, to nic dziwnego, że kazał jej trzymać się od niego z daleka.

Wyjechali przez bramę. Ale zamiast wrócić do głównej szosy, Damon prowadził wąskimi, polnymi drogami. Wokół było ciemno i tylko reflektory samochodu rzucały słaby blask na niewidoczną drogę.

— To skrót — objaśnił krótko.

Po dziesięciu minutach Florrie zaczęła się niepokoić. Zdawało się jej, że jadą w niewłaściwym kierunku. Damon prowadził bardzo szybko. Niebezpiecznie szybko.

— Damon — wydusiła z siebie pytanie. — Czy jesteś pewien, że to ta droga?

Rzucił jej spojrzenie, w którym wyczytała wszystko. Gwałtownie zaczęła manipulować przy pasach.

— Natychmiast mnie wypuść — rozkazała. — Wypuść mnie!

Chwyił ją za nadgarstek.

— Cicho, Florence. Wszystko będzie dobrze. Nic ci nie zrobię. Obiecuję.

Przez chwilę siedziała spokojnie, ciężko oddychając. Może wyskoczyć w biegu? Nie, to beznadziejne. Jeszcze gorszym pomysłem było zaatakować Damona przy kierownicy. Mogłaby zabić ich oboje. Trzeba poczekać.

Poczuł, że jej opór maleje i wypuścił jej rękę.

— Proponuję ci drzemkę, Florence. Obudzę cię, jak będziemy na miejscu.

Nie było sensu pytać, dokąd jadą. Przestraszona, udała, że słucha. Zamknęła oczy. Ze strachu nie mogła zebrać myśli.

„Może to tylko zły sen i zaraz się obudzę. Błagam, niech to będzie sen” — modliła się.

Ta koszmarna podróż na szczęście nie potrwała długo. Nagle Damon odezwał się.

— Nie próbuj wyskakiwać, kiedy zatrzymam samochód. Rób tylko to, co ci każę. Jeśli będziesz grzeczna, nie stanie ci się żadna krzywda. Nie chcę ci zrobić nic złego. Rozumiesz, Florence?

— Tak! — powiedziała przez zaciśnięte zęby. Wielkie krople wody kapały z drzew. Florrie czuła,

jak przemakają jej buty. Wiedziała, że są w lesie. W ciemności widać było białe ściany jakiegoś domku.

— Chodź za mną — rozkazał Damon.

Florrie nie ruszyła się. Chwycił ją mocno za ramię i powłókł za sobą, sprawiając ból.

— Jesteśmy dziesiątki mil od ludzi — powiedział. — Chyba nie chcesz spędzić nocy w lesie.

Nie pozwolił jej zresztą na to. Otworzył drzwi frontowe i wepchnął brutalnie do środka. Potknęła się, z trudem odzyskała równowagę opierając się o jakiś mebel. Mocno się go chwyciła, podczas gdy Damon wszedł za nią i zapalił światło.

Wewnątrz było bardzo nieprzyjemnie. Wyblakła, upstrzona zaciekami tapeta, meble pomalowane na brudno-kremowy kolor. Wszystko pokrywał kurz i pajęczyny. Było zimno i cuchnęło stęchlizną. Stare meble i dywan nosiły ślady długotrwałego używania.

— Siadaj — Damon wskazał krzesło i zaczął manipulować przy piecyku gazowym.

— Co to za miejsce? — zapytała Florrie. Ciekawość zwyciężyła strach.

— To moja kryjówka — Damon był wyraźnie zadowolony z siebie.

— Ale gdzie jesteśmy? Damon, musisz mnie wypuścić. Nie powiem nikomu. Ja...

— Zamknij się! — jego głos zabrzmiał dziko. — Siedź tutaj i nie ruszaj się! Muszę sprawdzić dom i rozpaść w piecu. Nie chcę nas zamrozić. Zapomnij o ucieczce, wszystko usłyszę. Zajmij się czymś. Bądź tak miła i zrób kawę, na przykład.

Kiedy Damon wyszedł z kuchni, Florrie osunęła się na krzesło i ukryła twarz w dłoniach. Drżała. Co z nią będzie? Czy Damon zamierza wykorzystać ją, żeby zemścić się na Robertcie? To wszystko prowadziło, bez wątpienia, do zguby mężczyzny, którego kochała. Przemiana była tak nagła. Najpierw przemily krytyk teatralny, teraz szaleniec. Trudno w to uwierzyć. Ale musi zrobić wszystko, by uchronić siebie i Roberta.

Usłyszała, że Damon stoi na schodach, więc szybko napełniła czajnik. Znalazła kubki i kawę.

— Jeszcze nie wiem, co z tobą zrobię — powiedział głucho.

— Ale nie mogę ryzykować tym, że poinformujesz o wszystkim Roberta.

— Damon, przecież wiesz, że robisz źle, prawda? Zatraciłeś poczucie rzeczywistości. Obwiniasz Roberta Howarda niesprawiedliwie.

Damon pokręcił głową.

— Nic nie rozumiesz. Tak jak wszyscy. Nawet Jennifer. Ten człowiek stoi mi na drodze. Zarzucił mi pętlę na szyję i ciągnie...

Ostry dźwięk gwizdka od czajnika poderwał Florrie i przerwał wynurzenia Damona. „To wariat” — myślała z paniką przygotowując kawę. Muszę jak najszybciej uciec i ostrzec Roberta.

— Ta bomba — kontynuował — to nie był mój pomysł. Ci głupcy z Włoch źle mnie zrozumieli. Ale teraz... teraz żałuję, że im się nie udało. Ludzie tak łatwo wybaczyli Robertowi i on znowu tu wrócił.

— Proszę, wypuść mnie — błagała Florrie. — Zapomnę o wszystkim i...

Znowu pokręcił głową.

— Póki ten człowiek chodzi po ziemi, moje życie jest gorzkie i żałosne. Bez niego mógłbym odetchnąć pełną piersią, rozwinąć skrzydła... Ale to się da załatwić. Twoje życie za jego...

Mówił teraz do siebie. Florrie przeszedł dreszcz po plecach.

Trzymała mocno swój kubek z parującą kawą. Jeśli Damon podszedłby, bez wahania chlusnęłaby mu gorącą zawartością prosto w twarz.

— Idź spać. Twój pokój jest na górze. Ja będę czuwać. Nie uda ci się uciec.

Florrie uznała, że lepiej wyjść i nie przeciągać struny. Przy niej Damon mówił i mówił, robił się coraz gwałtowniejszy. Szybko ominęła go i ruszyła po schodach.

Doszła do małego korytarzyka i zatrzymała się. Zauważyła troje drzwi. Pierwsze prowadziły do łazienki. Otworzyła drugie, zapaliła światło i wzdrygnęła się.

Cały pokój był obwieszony fotografiami Jennifer Greenwood. Znajdowały się wszędzie: na ścianach, na nocnym stoliku, toalecie. Ktoś musiał bardzo dbać o to pomieszczenie — było tu czysto, na łóżku leżała nocna koszula, odchylony róg kołdry zapraszał. W powietrzu unosił się ledwo uchwytny zapach perfum. Ciekawe, czy w szafie wciąż wisiały rzeczy tej od dawna nieżyjącej kobiety? Ta sypialnia z pewnością nie była przeznaczona dla Florrie.

Zgasiała światło i ostrożnie zamknęła drzwi, cały czas uważnie nasłuchując. Z dołu nie dobiegały żadne hałasy. Weszła do trzeciego, małego pokoju. Przystawiła krzesło oparciem pod klamkę i natychmiast poczuła się bezpieczniej. Teraz nie będzie łatwo dostać się do pokoju.

Wyrzała przez okno. Ściana była wysoka. W świetle padającym z kuchennego okna widać było zaniedbany ogród. Tędy nie było ucieczki. Pozostawała nadzieja, że Damon zaśnie.

Zostawiła piecyk i lampkę włączone, położyła się w ubraniu na wąskim łóżku i otuliła kocami.

„Robercie" — myślała — och, Robercie! Co ja narobiłam!"

Próbował ją ostrzec, a ona w taki głupi sposób dała się zwieść. Brała jego rady. za wtrącanie się do jej spraw, bezpodstawną zazdrość. Widziała teraz jasno, że nigdy nie ingerował; kiedy

pytał o ofertę Luki, powstrzymywał się od uwag. Wolał się wycofać niż przeszkodzić. Dlaczego nie zaufała mu, człowiekowi, którego tak kochała?

A teraz przez swoją naiwność i dzieciną przekorę wpędziła ich oboje w tarapaty.

„Twoje życie za jego” — powiedział Damon. Czy naprawdę był do tego zdolny? Musiała wyostać się stąd, musiała zrobić to dla Roberta. Rozmyślała intensywnie, ale Damon zdawał się być wszędzie — w oknie, w kuchni, przy samochodzie, w lesie. Przecież nie poradzi sobie z silnym, o-władniętym szalem mężczyzną. Wolała nie myśleć, co by było, gdyby przyłapał ją na jakimś podstępie.

Zastanawiała się, czy Robert może wpaść na to, co się stało. Musiał wiedzieć o chorej nienawiści Damona, o tym, że jest zdolny do wszystkiego. Gdy w grę wchodził Robert, jego pozorna normalność przemieniała się w szaleństwo.

Florrie zadrżała.

Z dołu doszedł jakiś dźwięk. Wstrzymała oddech, nikt jednak nie szedł ku jej sypialni.

Poczuła gniew. Gdyby tylko Robert jej zaufał, powiedział całą prawdę, do niczego by nie doszło. Dlaczego milczał? Czy uważał, że nie byłaby zdolna tego zrozumieć?

W końcu, wyczerpana pograżyła się w drzemce.. Śniła, że wciąż są w samochodzie. Jechali, z boku siedział Damon. Czowała przeraźliwy strach i bezsilność.

ROZDZIAŁ VIII

Obudziła się. Z dołu dochodziły jakieś głosy. Czyżby Damon zaczął mówić do siebie? Wyobrażała sobie, jak przemierza kuchnię tam i z powrotem, przemawia do wymagowanego słuchacza gestykulując i waląc pięścią w stół.

Podniosła się z łóżka i na palcach podeszła do drzwi. Słyszała jednak, były dwa głosy! Nie było wątpliwości. Może Damon miał współnika? Trzeba było to sprawdzić.

Ostrożnie odsunęła krzesło, bezszelestnie przemknęła do podestu i wychyliła się przez poręcz. Drzwi frontowe stały otworem. Ktoś musiał wbiec w pośpiechu.

— Ona jest tutaj! Wiem, że jest! Nie próbuj mnie oszukiwać, Damon. Tylko pogarszasz swoją sytuację.

To był Robert! Florrie kurczowo chwyciła się poręczy. Omal nie spadła ze schodów z radości i zaskoczenia. Chciała go zawołać, lecz strach przed reakcją Damona powstrzymał ją. Nie mogła narazić Roberta na niebezpieczeństwo.

— A skąd wiesz, że nie przyszła tu z własnej woli? Nie wpadłeś na to? — słowa Damona brzmiały jak kpina.

— Pozwól mi z nią porozmawiać. Jeśli jest tak, jak mówisz, to odejdę i dam wam spokój.

— Nie zabierzesz mi jej! Ona jest moja. Nie możesz znieść tego, że ci ją ukradłem, prawda? Florrie aż się zachłysnęła. Jakie jeszcze podłe kłamstwo Damon wymyśli?

— Damon, to nie jest Jennifer, tylko Florrie! Florence Johnson.

Damon zachichotał.

— Wiem, wiem! Nie zwariowałem jeszcze, Howard. Ale zniszczę cię niedługo. Pewnie myślisz, że już dość cię skrzywdziłem, ale to tylko początek. Jeszcze pożałujesz, że w ogóle się urodziłeś!

Robert zaklął głośno.

— Rób, co chcesz, gnojku! Zależy mi jedynie na Florrie. Daję ci ostatnią szansę. Jeśli nie powiesz, gdzie ona jest, to sam ją znajdę. A wtedy pożałujesz!

— Ha, miałem rację — w głosie Damona zabrzmiał triumf. — Jesteś w niej zakochany. „Krzywdząc Florence ugodzisz w Howarda.” Tak właśnie będzie...

Nagle usłyszała hałas, zaraz potem odgłosy bójki. Gwałtownie rzuciła się w dół na pomoc Robertowi, ale zatrzymała się w pół drogi... Przez otwarte drzwi wpadło dwóch umundurowanych policjantów. Spojrzeli na nią i wbiegli do kuchni. W ciągu paru sekund było po wszystkim. Ich spokojne, stanowcze głosy wydawały polecenia, instruowały Damona, by stał spokojnie.

Poczuła, że nie wytrzyma już dłużej. Zbiegła na dół i wpadła prosto w ramiona Roberta, który właśnie wyszedł z kuchni.

Prawie świtało, było chłodno i szaro. Florrie siedziała w kuchni, w domu Roberta, pijąc herbatę i pogryzając tostą. Dookoła niej zgromadzili się Robert, Brian i Weronika.

— Więc siedzieliście sobie tak w restauracji, a Robert jak Batman wpadł przez komin!

Florrie roześmiała się.

— Nigdy nie widziałam go tak wściekłego jak wtedy, kiedy mu powiedziałam, że umówiłaś się z Damonem Kingiem — opowiadała Weronika.

— Nie mogłem uwierzyć, że byłaś taka głupia. Ale po tych wszystkich zdarzeniach powinienem to przewidzieć — rozważał Robert.

— Kiedy wróciłem wczoraj do domu, coś mnie tknęło. Poczułem się bardzo zaniepokojony. Jeśli Damon to wariat, mógł z tobą zrobić wszystko. Dzwoniłem do ciebie kilka razy, wyciągnąłem Neli z łóżka. Potem zadzwoniłem do Damona. Odebrała Marion. Nie była zachwycona, że wyszliście razem. Czekala na niego. Wtedy byłem już pewien, że coś jest nie w porządku.

— A gdyby mnie uwiódł... albo ja jego? Florrie powoli odzyskiwała wigor.

— Brałem to pod uwagę, ale i tak wolałem to sprawdzić. Postawiłem na nogi starego przyjaciela, adwokata — usłyszysz o nim więcej w swoim czasie — który ma znajomości w policji. Załatwili mi pomoc. Wzięli mnie najpierw za historyka. Pamiętałem, gdzie jest domek, Jennifer mi opowiadała. Postanowiłem zacząć swoje poszukiwania od tego miejsca.

Przytulił Florrie.

— To było takie przygnębiające okropne miejsce—opowiadała Florrie. — On chyba czekał, aż wszystko zgnije.

— Chyba tak. Najpierw bardzo się nim chwalił, ale jak Jennifer zginęła, stracił cały zapał.

— Dzięki Bogu, że pamiętałeś, gdzie to jest. I że przywozłeś policjantów.

— Czyżbyś nie wierzyła, że mógłbym z nim sobie sam z łatwością poradzić?

Wypiął dumnie pierś i udał obrazonego.

— Słyszałam, że w szkole nawet często biliście się i nie zawsze ty wygrywałeś.

— Znasz go aż tak długo? — dziwił się Brian. — King musi być strasznie pamiętliwy.

— On był jak cień. Nie mogłem się go pozbyć. Cokolwiek bym zrobił, to zawsze siedział mi na karku.

— Ale jeśli o tym wiedziałeś, to musiałeś być pewien, że Damon organizuje te wszystkie pułapki — Brian domagał się wyjaśnień.

Siedzieli chwilę w milczeniu, czekając na wynurzenia Roberta.

— Dawno temu Damon był po prostu moim rywalem. To było dość ciekawe — byliśmy nawet w pewnym sensie przyjaciółmi. Potem dorośliśmy, jak to zwykle bywa. Chciałem zerwać tę uciążliwą znajomość. Gdziekolwiek się obróciłem — Damon. Tak jakby nie potrafił żyć samodzielnie. No i zostaliśmy wrogami. Chodziło mi tylko o to, żeby trzymał się ode mnie z daleka, ale on był uparty.

Kiedy Jennifer zginęła, zaczął mnie publicznie atakować. Rzucał bezsensowne oskarżenia — nie panował nad sobą. Nie mógł poradzić sobie z tym wszystkim. Po pewnym czasie wyglądało

na to, że się wycofał. Wokół mnie zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Nie chodziło tu o jakieś plotki, tym się nie przejmowałem, ale miałem ciągle kłopoty z aktorami, ze sprzętem. I to w takim stopniu, że postanowiłem „odpocząć” od teatru. Na myśl mi nie przyszło, że za tym wszystkim stał on. Po cichu wyjechałem do Włoch. No i ledwo tam dotarłem, od razu ktoś zdemolował altanę. Czyli trwało to nadal.

Skontaktowałem się z moim adwokatem, omówiliśmy sprawę. Zgodziliśmy się, że za dużo tych przypadków. Ktoś musiał maczać w tym palce, a najlepiej do tej roli pasował Damon King. Nie miałem jednak żadnych dowodów. Opowiedziałem całą historię sierżantowi Angelo. Wciąż nad tym pracuje. Wyjechałem w takim pośpiechu do Anglii, bo adwokat zawiadomił mnie o pewnych konkretnych dowodach i musiałem wracać.

— Gdybyśmy tylko wiedzieli — powiedziała współczująco Weronika — to nie wieszalibyśmy na tobie psów.

— Ale — dalej domagał się Brian — czemu nie złożyłeś jakiegoś oficjalnego oświadczenia, żeby ukrócić te plotki?

— To by było jak wsadzanie kija w mrowisko. Gdybym ujawnił szczegóły związane ze śmiercią Jennifer, prasa rozdmuchałaby to tak bardzo, że długo bym się nie pozbierał. Wierzyłem, że jeśli będę siedział cicho, to ludzie szybko zapomną o całej sprawie.

— Co stanie się teraz z Damonem? — zapytała Weronika.

— To zależy do pewnego stopnia od Florrie — odpowiedział Robert, spoglądając na nią z czułością.

— Jeśli wysunie oskarżenie o porwanie i przetrzymywanie wbrew woli, to King odpowie za to, co zrobił.

Florrie z zażenowaniem oglądała sobie dłonie.

— Czy... czy Damon pójdzie do więzienia?

— Uważasz, że nie należy mu się? — Brian i Weronika powiedzieli to niemal równocześnie.

— Po tym wszystkim, co zrobił tobie i Robertowi? — dodała Weronika.

Robert przyglądał się jej nic nie mówiąc.

— Wiem, że zrobił źle. Ale ta obsesja zre go jak robak.

— A może bandyci też mają obsesję napadania? — spierał się Brian.

— A mordercy zabijania? — pomagała mu Weronika.

Florrie zwiesiła głowę.

— Wiem. Macie rację. Ale żal mi go. Jest taki biedny. Chyba rozumiecie? — Spojrzała na Roberta.

— Tak. Znam go tak długo. Mój prawnik złoży wniosek o badania psychiatryczne.

— O, to będzie najlepsze wyjście. Wiesz, to nie dlatego, żebym go lubiła, ale on jest naprawdę szalony! Czy wiesz, że urządził sobie w domku kapliczkę na pamiątkę Jennifer.

— Co ty mówisz? Opisała pokój.

— Może to jednak nie jest takie dziwne — zaczęła się po chwili zastanawiać. — Umarła nie tak dawno. Przecież mieli się pobrać ...

— Ależ nie! — przerwał Robert.

— Jak to nie? — zdziwiła się.

— Pobrać się! Też mi coś!

— A ja ciągle się zastanawiałam, kto tu komu ją odbił.

— Florrie, mówiłaś, że przypominałaś Damonowi Jennifer — pomagała jej Weronika.

Robert wybuchnął śmiechem.

— Głupoty. Florrie absolutnie nie jest do niej podobna!

— Ja również nie zauważyłam podobieństwa — zgodziła się Florrie. — Była taka piękna.

— Ty też jesteś, ale inaczej. Na tym podobieństwo się kończy.

— Słuchajcie, to przecież proste. Damon zawsze chciał tego co miałem ja. Od dzieciństwa. Taka obsesja, jak to określiłaś. Jennifer i ja byliśmy przyjaciółmi, i to wszystko. Naprawdę. Damon zobaczył kiedyś nasze zdjęcie z jakiegoś rozdania nagród i zakochał się w niej. Była dla niego miła, nawet odwiedzała go w domku. Z grupką kolegów. Opowiadała mi o tym. Kiedy postanowiła pojechać do Hollywood i zginęła w wypadku, w Damonie coś jakby pękło. Wmówił sobie, że zabiła się z mojego powodu.

— Jesteś pewien, że to był wypadek? — dopytywała się Florrie.

— Oczywiście! Widziałem raporty policji.

— Powiedziałaś, że postanowiła wyjechać do Hollywood. Czy to ty jej doradzałeś?

— Doradzać Jennifer! Nikt jej niczego nie doradzał. Sama zawsze wiedziała najlepiej, czego chce. Mówiłem, że będzie jej ciężko, ale to ona wybrała i tak być powinno. Może Damonowi wystarczyło to, że nie próbowałem jej niczego wyperswadować.

— To chyba przeważało szalę. — Damon prędzej czy później pewnie załamałby się — głośno rozmyślała Weronika.

Robert ukradkiem wskazał Florrie, która już nie kryła ziewania.

— Co sądzicie — zaproponował — o małej drzemce.

— Hm — mruknęła Florrie. — Chętnie. A ty?

— Ja mam jeszcze coś do załatwienia — powiedział tajemniczo.

— A wy dwóje? Może zostaniecie?

Ale Weronika i Brian mieli inne plany. Upewnili się już, że Florrie jest cała i zdrowa. Uścisnęli ją, a Weronika pozwoliła sobie na porozumiewawcze mrugnięcie.

— Miałam rację, prawda? — wyszeptała.

— Dzięki za wszystko...

Robert wyszedł z nimi. Florrie natychmiast poszukała pokoju gościnnego i rzuciła się na łóżko. Spała mocno, nie miała żadnych snów.

Gdy otworzyła oczy, słońce było już wysoko. Zauważyła piękną różę stojącą w wazonie koło łóżka. Do gałązki przyczepiona była kartka z kilkoma słowami skreślonymi ręką Roberta — „Jestem w gabinecie. Proszę przeszkadzać”.

Uśmiechnęła się. Chwilę poświęciła na mycie. Uczesała się, przypudrowała cienie pod oczami. Na szczęście sukienka z dzianiny nie pogniotła się. Zeszła na dół.

Robert siedział przy biurku. Podeszła nieśmiało.

— O, panna Johnson. Dobrze się składa. Mamy chyba kilka spraw do omówienia. Proszę usiąść. — Wskazał krzesło naprzeciwko biurka.

— Nosisz okulary? — zdziwiła się.

— To moja jedyna, trzymana w tajemnicy wada. — Zerknął na nią w zabawny sposób nad grubymi szklami. — To po to, żeby cię lepiej widzieć, moja droga.

Florrie nabrała powietrza.

— Więc, panie Howard, żarty na bok. Jest jedna albo dwie rzeczy, które trzeba wyjaśnić, zanim zdecyduję się na tę pracę.

— No strzelaj.

Oparł się wygodnie na fotelu, założył nogę na nogę. Florrie tak bardzo pragnęła objąć go, przytulić.

— Myślę, że najważniejsze jest... Słuchaj, czemu ty do diabła nie powiedziałeś mi, o co ci chodzi? Mogę zrozumieć, że we Włoszech było jeszcze za wcześnie, sam nie miałeś pewności. Ale teraz? Wystarczyłoby parę słów wyjaśnienia. Zrobiłabym tak, jak chciałeś.

— Wątpię. Zawsze byłaś uparciuchem, Florence Johnson. Po prostu myślałem, że już po wszystkim. Mój adwokat wysłał do niego ostrzegawczy list. Poza tym, kiedy Damon zaczął na ciebie zwracać uwagę, byłem wściekły, że mi nie ufasz. A jestem bardzo drażliwy, jeśli chodzi o te sprawy. Rozumiesz?

— Chyba tak. Bo ja to widziałam identycznie, tylko, że z innej strony. Już ci mówiłam, że spotykałam się z nim tylko po to, żeby zrozumieć, co się dzieje...

I w sumie dobrze się stało. Przynajmniej wszystko się wyjaśniło. Już we Włoszech twoje sprytne pytania rozjaśniły mi nieco sytuację. Tak zwane spojrzenie z boku.

— Wiesz, że Weronika widziała cię koło altany tej nocy, kiedy było włamanie? Dało mi to sporo do myślenia.

— Nie miałem nic do roboty i sporo problemów na głowie. Rozczarowania w Londynie, śmierć Jennifer, plotki. Zaczynałem tracić grunt pod nogami. Pusta scena zawsze była dla mnie źródłem inspiracji. Widziałem, że ktoś się zbliża, ale pragnąłem być sam.

— Och, ty Greto Garbo. Przy okazji, czy to prawda, że parę dni temu kazałeś trzymać się Damonowi z dala ode mnie?

— Nie widziałem go, odkąd trafił na moje przyjęcie. Ale gdybym go spotkał, powiedziałbym mu wystarczająco dobitnie, żeby się odczepił.

— Szkoda, że tak się nie stało. Patrzyli na siebie wyczekująco.

— Więc? — zaczął pierwszy.

Florrie pochyliła głowę, nie wiedziała, jak zacząć.

— Hm, nie mogę tak od razu, bez chwili namysłu... Och!

Robert zdążył już zdjąć okulary, poderwał się z fotela obiegł biurko i chwycił ją w ramiona. Wyszło to trochę niezgrabnie.

— Przepraszam... — Całował ją gdzie popadło. — Nie mogę dłużej czekać... Chciałem się starać o twoje względy powoli... Ale chyba to nie ma sensu...

Wreszcie znalazł jej usta. Cała poddała się jego pocałunkom. Gdyby nie jego silne ramiona, osunęłyby się na podłogę.

— Powtórz jeszcze raz — wyszeptwała.

— Kocham cię.

— Ja też...

Nie dał jej dokończyć. Potem przekrzykiwali się prawie. Każde wyrażenie, każdy gest, wszystko co czuli lub słyszeli, odkąd Robert wszedł wtedy do altany, nagle stało się bardzo ważne. Trzeba było wszystko przeanalizować; pierwszy raz we dwoje. Aż do chwili, kiedy złapał ją na schodach w domku Damona, wyznał miłość i natychmiast poprosił o rękę.

— Musiałeś wiedzieć, że podkochałam się w tobie dwa lata temu.

— Ja też kochałem cię już wtedy. Walczyłem z tym uczuciem, próbowałem je zignorować. Moja kariera... Ale jak cię zobaczyłem we Włoszech... Wszystko inne poszło w ką.

Siedzieli na dużej kanapie przed kominkiem. Robert oparł się o poręcz, a Florrie przytuliła się do niego tak mocno, jak tylko się dało.

— Kiedy weźmiemy ślub? — zapytał po chwili. — No i nie powiedziałaś mi, czy bierzesz tę pracę.

Florrie zastanowiła się.

— Hm, jest jeszcze parę spraw...

Pogłaskał ją, ujął jej podbródek i spojrzał w oczy.

— Co na przykład?

— Po pierwsze, ty jesteś taki... A ja tylko... I nie byłoby...

Roześmiał się.

— Słuchaj, mała. Tak się staram, żebyś przestała hołubić tego swojego Roberta Howarda, Największego Reżysera Wszechczasów. Najlepszą kuracją będzie natychmiastowe zabranie się do mojego prania i gotowania.

— Tak? A ja myślałam, że ty będziesz gotować!

— Z ręką na sercu — moje steki są wyśmienite. Ale nic więcej nie umiem. No, co jeszcze tam masz?

— A moje piegi...

— Kocham je. Spędzę całe lata na śledzeniu każdego z osobna i całowaniu ich.

Florrie potrząsnęła głową.

— Jest jeszcze jedna przeszkoda, chyba nie do pokonania. Moja młodsza siostra nigdy się nie zgodzi. Ona cię nie znosi. Uważa, że jesteś zarozumiały i zbyt.... Przestań!

Ale Robert łaskotał ją, dopóki nie powiedziała „tak”.